№ 8. Warszawa, dnia 11 (23) Lutego 1878 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Kwestye i Sprawy.

VI.

Kilka uwag o życiu towarzyskiem.

(Dalszy ciąg).

U ludów „bliższych natury“ jak świadczą podróżnicy, prowadzi się o ile możności ścisły obrachunek, ile kto zjadł u kogo i tyleż prawie musi każdy nawzajem zjeść u swego poprzedniego gościa. Z drugiej strony, narody wyżej posunięte w cywilizacyi, jak np. Grecy starożytni, od których otrzymaliśmy w spadku naszą kulturę nietylko że troskliwie pielęgnowali cnotę gościnności, ale szukali z niej chluby i uczynili nawet gościnność obowiązkiem religijnym, którego pogwałcenie sprowadzało ciężkie kary na winowajców, nawet i na ich potomstwo: tak głosiły przynajmniej wyrocznie helleńskie, niejednokrotnie upatrując przyczynę chorób epidemicznych, nieurodzaju, głodu, klęsk wojennych i innych w gniewie bogów za zamordowanie lub odtrącenie bezbronnego pielgrzyma, wygnańca lub tułacza, choćby nawet zbrodniarza, błagającego o gościnność. Już w poematach homerycznych widzimy piękne i wzruszające zarysy gościnności, wrodzonej, jak się zdaje, nietylko Grekom, ale wszystkim ludom szczepu aryjskiego: zbolały król Pryam nie waha się bezpiecznie zasiąść do stołu z głównym swym wrogiem Achillesem, do którego jako gość i błagający w imię Zewsa przybywa, a każdy nędzarz i podróżny, nawet do królewskiego stołu przyjęty, naprzód musiał być nakarmionym i napojonym, a później dopiero godziło się go zapytać o imię, pochodzenie, cel i przygody podróży. Daleko później, w czasach historycznych, u greków, a po części i u rzymian, związki gościnności, które grecy oznaczali również swojemu tylko językowi właściwym wyrazem „xenia,“ były jeszcze tak rozgałęzione i pewne, że w świecie starożytnym było bardzo mało gospód i domów zajezdnych płatnych, gdyż każdy prawie podróżny miał tu i owdzie przyjaciela, z którym go łączył związek wzajemnej gościnności, jeden względem drugiego nazywał się *xenos*, i do którego domu zajeżdżał, jakby do własnego, będąc pewnym najserdeczniejszego przyjęcia, gdyż było to obowiązkiem towarzyskim i religijnym. Było to może niezbyt *ekonomicznie*, ale jakoś bardzo po ludzku, nietak jak dzisiaj, gdy za wszystko *bezahle* (zapłać) i gdy wynaleziono wstrętne porównanie gościa do ryby, która tylko przez jeden dzień bywa znośną...

Plemię słowiańskie w ogóle celowało również dawniej gościnnością a i nasz naród pełnił tę cnotę najbardziej właśnie w epoce największego swego rozkwitu. Mamy też dwa przysłowia, a raczej dwie maksymy czyli zasady, jakiemi inne narody poszczycić się nie mogą: pierwsza „gość w dom, Bóg w dom“ przypomina ów wzmiankowany powyżej religijny obowiązek gościnności u starożytnych greków; druga, pełna przedziwnej mądrości, do której jeszcze wrócimy poniżej, brzmi: „czem chata bogata, tem rada.“ O ile sięgają nasze wiadomości historyczne i tradycye, przekonywamy się że w dawnej Polsce gościnność kwitła pomiędzy wszystkiemi stanami: pomiędzy kmieciami, którzy wtedy jeszcze nie korzystali ze złowrogiego dobrodziejstwa karczem: pomiędzy stanem miejskim, szlachtą uboższą i magnatami, którzy również nie znali jeszcze wtedy knajp, piwiarni i klubów, wszystkich tych zakładów, gdzie obecnie schodzą się niby znajomi, „zabijając czas“ każdy za własne pieniądze. Doroczne uroczystości i obchody religijne i rodzinne, wspólne polowania, zjazdy obywatelskie na wpół prywatne, a na wpół publiczne, kuligi, kilkudniowe chrzciny, wesela, przenosiny i t. d. wreszcie obowiązkowe odwiedziny krewnych i sąsiadów, wszystko to podtrzymywało łączność towarzyską. W utworach Pola i w Panu Tadeuszu Mickiewicza mamy liczne obrazy staropolskiej gościnności, bynajmniej nie wyidealizowane, lecz żywcem z rzeczywistości wzięte. W domach możnych nigdy gości nie brakło: niektórzy jeszcze z dziś żyjących pamiętają niezbyt dawne czasy, gdy w domach nawet średniej zamożności przyjmowano chętnie i zapraszano na obiad, każdego, kto się zjawił w niedzielę po mszy, często nawet nieznajomych, nie pytając o nazwisko ani o herb.

Bywały także i wtedy nadużycia i strony ciemne: czasem zanadto „popuszczano pasa“, zwłaszcza w latach ostatnich: zanadto hołdowano Bachusowi, a wylana gościnność przekraczała już wszelkie granice, posuwając się do przymusu, do zdejmowania kół, albo do szabli: „albo pij, albo się bij“, a kto nie wypije, tego we dwa kije“. Bądź co bądź, jednak dawniej więcej było łączności i braterstwa. Dzisiejsi trzeźwi arytmetycy wzruszają tylko ramionami na marnotrawstwo staropolskiej gościnności: prawią że dobrze było częstować, gdy było za co, że przy pańszczyźnie wszelkie produkta nie kosztowały nic prawie albo bardzo mało; wyśmiewają nawet resztki dawnych obyczajów jak np. święcone wielkanocne, obliczając skrupulatnie, ile to złotych i rubli „ginie nieprodukcyjnie“, które mogłyby np. włożone w pewne przedsiębierstwo, oddane do kasy oszczędności lub na procent, przynieść tyle a tyle zysku i t. p. Na to wszystko możnaby, nie broniąc wybryków i nadużyć, odpowiedzieć w krótkości choćby to tylko, że zawsze i wszędzie pewna część wydatków ginie nieprodukcyjnie, że może dziś nawet, pomimo uszczuplonej gościnności i pomimo „ciężkich czasów,“ ludzie więcej marnują pieniędzy niż dawniej, że wreszcie procent i produkcyjność, nawet od wydanych pieniędzy, nie zawsze bywają i niezawsze być powinny dotykalne i pieniężne: podtrzy-

manie związków towarzyskich i łączności jest także procentem nie do pogardzenia.

Tak więc coraz to bardziej „trzeźwa arytmetyka“ czyli „względy ekonomiczne“ wraz z uwagą na „ciężkie czasy“, krzewiąc się i szerząc, doprowadzają do zjawiska wprost sprzecznego z dawną gościnnością i zyskują poklask dla wzmiankowanej powyżej zasady, jakoby „gościnność jest cechą narodów barbarzyńskich“. Boimy się więc gości, ażeby nas nie „objedli i nie opili“; chyba że może wkrótce zostanie uświęcone obyczajem, ażeby goście, podobnie jak cygara i papierosy, przynosili też ze sobą w kieszeniach śniadanie, obiad lub wieczerzę. Mieszczuchy spotykają się tylko w knajpach i cukierniach, płeć piękna na ulicach lub na spacerach, a i na wsi podobno sąsiad do sąsiada tylko w interesie „wpada“ i najczęściej konie czekają przed gankiem, bo owies i siano kosztują. Wszelako, z drugiej strony, należy wyznać, że owo trwożliwe unikanie gości poczęści znajduje usprawiedliwienie w tem, iż istotnie, wielu gości „bywa tam tylko chętnie“ gdzie „dobrze jeść dają“ i bodaj tylko dla tego. Bywa tak często w kochanej Warszawie, a i na prowincyi powstały nawet i utrwaliły się pod tym względem wstrętne wymagania, które prawdopodobnie zawdzięczają swój byt pieczeniarzom. Oni to pewno stworzyli wierszyk, w którym z przekąsem mowa o „wciśnięciu szklaneczki herbatki“; oni też prawdopodobnie przyłożyli się do utrwalenia w pewnem miasteczku prowincyonalnem „prawa towarzyskiego“ (sic), na mocy którego każdy, kto zaprasza do siebie kilku znajomych, musi koniecznie dać gorącą kolacyą, najmniej z *dwóch potraw mięsnych*. (!) złożoną. Na to wszystko jedna tylko jest rada, ponieważ słuszną jest rzeczą zamykać drzwi przed pieczeniarzami, ale byłoby niesłusznem, ze względu na pieczeniarzy, niweczyć gościnność i towarzyskość, wypada więc trzymać się ściśle wymienionego powyżej, dziwnie mądrego, złotego zdania „czem chata bogata, tem rada“, to jest nie wysadzać się nad stan i możność i przyjmować gości zwykłym, powszednim trybem domowym. Komu nie o jadło chodzi, ten bywać nie przestanie, a pieczeniarze gdy zaprzestaną tem lepiej. Wszelako niestety, urzeczywistnieniu tego złotego prawidła stoją na przeszkodzie inne wymienione powyżej przyczyny, do rozpatrzenia których przystąpimy w następnym artykule.

(*d. c. n.*)

STARY ŻOŁNIERZ.

Idzie żołnierz borem, lasem.
Przymierając z głodu czasem...
(*Ze starych pieśni*).

Wracam! wiek włosy okrutnie pośnieżył,
Wracam! bez wiary — ja com w wszystko wierzył!
Jak lew się biłem — byłem tam gdzie pierwsi...
Krzyż zasług zdobi zapadłe me piersi...
Kula pod sercem — to pamiątka stara,
Lecz wszystko głupstwo — górą nasza wiara!

* *
*

Wracam, już widzę krzyżyk na kościele
W słonecznych blaskach — tam było wesele
Z jedyną moją — Boże Ty — mój Boże!
Niech przy kościołku onym głowę złożę.
A na Sąd Boży — choć mam w sercu ranę,
Na hasło: powstań — z karabinem wstanę.

Miron.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej

(Dalszy ciąg).

Rozdział XVI.

Po wyjściu gości, Klarka rzuciła się na krzesełko, rozpięła ubranie odetchnęła kilka razy jak człowiek któremu tchu zabrakło i zawołała z pognębieniem:

— Jakież okropne położenie! Gdyby jeszcze tak z półgodziny nie wytrzymałabym! Prawdziwie, sama sobą zaczynam się brzydzić. Przymuszać się do takich wysileń, do takiego kłamstwa... to męka z żadną nieporównana, ale cóż robić mam nieszczęśliwa! Co robić, co począć? W domu nie ma ani grosza, kredytu ani za szeląg, długów jak włosów na głowie a widoków żadnych. O robotę coraz trudniej, biedne jak my robotnice rozchwytują ją, obniżają cenę zarobku, że trzy dni pracy zaledwie na wyżywienie jednego dnia wystarczają. Ach! Boże mój Boże!

Klarka zasłoniła oczy i rozpłakała się.

— Cicho Klarciu, odezwała się Frania z westchnieniem, jakoś to będzie...

— Ale jak? Chyba że się utopimy. Cóż zrobimy jutro?

Frania podniosła ramion.

— To jutro o tem będziemy radziły odrzekła i po chwili zapytała:

— Cóż, pan Anzelm?

Klarka zerwała się, przeszła się parę razy po pokoju, widocznie walczyła sama z sobą i rzekła wreszcie zmuszając się do odpowiedzi:

— Zdaje mi się... że się zdecydował stanowczo i gdyby był sam kto wie czyby się nie oświadczył. Przyrzekł jednak być wkrótce i rozmówić się ze mną w ważnym bardzo interesie. To znaczące, nigdy jeszcze nie był tak stanowczym, zresztą cóżby za interes mógł mieć do mnie jak nie...

Klarka nagle przerwała i wzdrygnęła się.

— Dobry to bardzo człowiek, odezwała się Frania zajęta rozbieraniem się.

— Tak to prawda, ale...

— Stałe posiada dochody, przytem stanowisko... uważanie...

— Wszystko to prawda, mimo tego jużbym wreszcie wolała Mieczysława...

Frania wzruszyła ramionami i szepnęła jakby do siebie:

— Boże kochany, taki patyk i taki jakiś... odpychający.

— Ej! uprzedziłaś się, człowiek z wykształceniem i z nowemi pojęciami.

— Już ja tam wolałabym pana Anzelma.

— Co też gadasz, zawsze Mieczysław nie tak wstrętny... gdyby dostał choć najmniejszy etat...

Frania nic już nie odpowiedziała, Klarka zamyśliła się a pani Mikłocka śpiąca w kuchni tak mocno chrapnęła, że obie panny obejrzały się.

— Ah! Klarciu, zawołała Frania, czy wiesz co mama zrobiła?

— A wiem, ale nie wiem jak się z tej awantury wydobędziemy. W kapie cały dół wyrwany.

Nastąpiło natychmiast rozpatrzenie się w szkodzie, wydobyto kawał materyi z pod komody, przyniesiono resztę jej z kuchni i na tym samym stole na którym raczono gości rozłożono kapę radząc nad jej naprawą.

— Jeżeli rzeźnik nie wrócił z żoną...

— Nie wrócił, przerwała Frania, bo przed samem wyjściem gości był stróż Antoni w kuchni i powiedział, że państwo jego nie wrócą do domu aż chyba nad ranem, bo chrzciny miały być z tańcami.

— Ah! to wielkie szczęście, trzeba się więc uwinąć i pozanosić rzeczy które od nich przyniosłam, to może ani się domyślą pożyczki.

Panny zamiast do spoczynku tak upragnionego, zabrały się do szycia a raczej wprawiania wydartego kawała starając się ukryć szew o ile możności. Pracowały z największą pilnością, nie mówiły do siebie, szew klepały, przyciskały, gładziły, wreszcie ukończywszy robotę przyjrzały się, pokręciły głową i zabrawszy lichtarze i cukiernicę poszły na górę. Za pozór tak późnych odwiedzin, miała być ich niespokojność; w oknach bowiem świeciło światło, jak to zwykle bywało w razie nieobecności państwa, przypuściły więc niby, że ktoś musi być chory, a nikt inny tylko córeczka. Rozespana sługa otworzyła drzwi, po krótkiej rozmowie, Frania stosownie do ułożonego planu, przytrzymywała ją zadając różne pytania, Klarcia zaś pobiegła niby do dziewczynki, aby ją obejrzeć i ucałować w łóżeczku a właściwie aby w bawialni i sypialni poustawiać przyniesione rzeczy na właściwych miejscach. Wyprawa udała się, sługa na pół śpiąca ani się domyśliła podstępu, zwłaszcza że Klarka załatwiła wszystko spiesznie i bez żadnego chrobotu. Panny uszczęśliwione i z lepszą cokolwiek otuchą udały się na spoczynek.

Na drugi dzień raniutko Klarka obudziła się pierwsza.

— Mamo, zawołała, niech mama wstanie bo trzeba iść zaraz do Warszawy po resztę należytości.

Pani Mikłocka przetarła oczy.

— Niechże mama wstaje a spiesznie żeby zastać w domu wszystkich.

Pani Mikłocka ziewnęła przeraźliwie.

— Czy mama słyszy?

— A toć słyszę bom nie głucha.

— To dlaczegóż mama nie wstaje?

— Przecieć na czczo z domu nie wyjdę, a tu nawet ognia nie ma na kominie.

Panienki zakrzątnęły się, zaniecily ogień, nastawiły samowar, zaparzyły resztki pozostałe w imbryku, wycisnęły je, wydusiły, wrzuciły kawałki cytryny od wczorajszego pączu i dołączywszy do tego kawałki chleba, bułek i mięsiwa niedojedzonego przez gości, postawiły przed matką zalecając pośpiech. Pani Mikłocka zaraz zajęła się tak upragnionym przez siebie posiłkiem, o wczorajszym wypadku z kapą nawet nie bąknęła słówka, może nawet zapomniała, jadła tylko i popijała. I one się tem niewiele troszczyły. Przyzwyczajone do podobnych wypadków, uważały brak jadła we właściwej porze za rzecz tak naturalną, że nawet z sobą o tem nie mówiły i dopiero wtedy narzekały gdy głód bardzo dokuczył.

Biedne dziewczęta! Ileż podobnych znajduje się w Warszawie i po miastach prowincyonalnych! I w obec tak smutnego stanu rzeczy, ekonomiści i moraliści nasi rozprawiają, czy zakres zarobkowej pracy kobiecej można rozszerzyć bez szkody społecznej. Przedzierżgnięci choć na miesiąc w takie biedne panienki jak panny Mikłockie, z pewnością przyszliby odrazu do jasnego pojęcia kwestyi przez nich tak błędnie rozbieranej. Nie idzie tu w niej o emancypacyą, o obywatelstwo, ale o głód i jego zaspokojenie. Zróbcie tak żeby biedne kobiety nie były na niego narażone, żeby nie były

zmuszone walczyć z tym potworem straszniejszym niż kule i bagnety; żeby nie mogąc zmódz wściekłego wroga nie znającego litości, nie potrzebowały go usuwać poświęceniem wszystkiego co mają najdroższego, a kwestya przestanie być podnoszoną. Nie możecie tego zrobić? To nie brońcie żadnej pracy do której kobieta rękę wyciąga, nie utrudzajcie jej zdobycia, nie stawiajcie rozmyślnie przeszkód i przestańcie raz wywodzić nieznośnych nudno ckliwych tyrad, o ognisku domowem, kapłaństwie niewieściem i jej wielkiem przeznaczeniu macierzystem.

Pani Mikłocka wreszcie ukończyła śniadanie, córki przystroiły ją w różne części własnej swojej garderoby, a raczej w jedyne jakie jeszcze nie sprzedały lub nie zastawiły, poprawiły, obciągnęły i Klarka prostując wstążki u kaptura rzekła:

— Niech tylko mama nie wraca do nas bez pieniędzy.

— A jak nie oddadzą? zapytała pani Mikłocka, to jakże będzie?

Klarka mruknęła coś niewyraźnie i nic nie odpowiedziała, z czego korzystając pani Mikłocka rzekła:

— Raz u nas ogrodnik to cały tydzień błąkał się w lesie, bo mu wuj zalecił aby bez sarny nie wracał do domu.

— To ogrodnik, bo był strzelcem, odrzekła Klarka najlepiej umiejąca przemówić do przekonania matki, to mógł się błąkać po lesie przez cały tydzień, ale mama nie jest strzelcem ani ogrodnikiem...

— Tak, to prawda, przerwała pani Mikłocka, wuj zawsze mówił że umiem strzelać doskonale bąki.

— Niechże mama teraz aby nie ustrzeli bąka i nie zgubi pieniędzy jak oddadzą.

— Ej, moje dziecko, raz tylko zgubiłam kapelusz, co mi się zsunął z głowy jak jechałam powozem siedząc na koźle.

— Bo mama siedziała, ale teraz będzie mama szła, to należy być uważającą.

— Mój wuj....

— Ah! z tym wujem to czyste nieszczęście! zawołała Klarka zniecierpliwiona do ostateczności. Już że go mama wywoła kiedy z grobu, to prawie pewna jestem.

Pani Mikłocka przeżegnała się, uderzyła się w piersi a potem szepnęła:

— Wczoraj czy kiedyś, bo już nie pamiętam, śnił mi się, że mnie na dzidzie podnosi na konia.

— To z pewnością kiedy na jawie nastąpi, ale dosyć tej gawędy, niech mama idzie z Bogiem i wraca z pieniędzmi.

— No, to się rozumie, odrzekła pani Mikłocka i idąc rozmyślała w jaki sposób i kiedy sen miała o dzidzie i wuju, czy dzisiejszej nocy czy wczorajszej.

Panny zostały same, pozasłaniały szczelnie okna, pozamykały drzwi i pozarzucawszy na siebie serwetę i kaftan z długiemi rękawami zasiadły do pracy. Jeść wprawdzie im się chciało ale w domu nic zgoła nie było, resztki dojadła matka. Z początku rozmawiały o widokach swych małżeńskich, rachowały, rozliczały dochody każdego z aspirantów, oceniały nadzieje ich przyszłości i zawsze tak wypadło, że najświetniejsze widoki przedstawia pan Anzelm i Bonawentura. Mieczysław mógł zająć kiedyś świetniejsze jeszcze stanowisko, ale na owe *kiedyś* strasznie długo trzeba czekać, a tu *dziś* dokucza i na gwałt woła ratunku. Antoni był niezły, według zdania Klarki, szczególniej swą potulnością tak nic nie wymagającą, ale żywot z nim mógł być ciężki a powiększenie dochodów bardzo niepewne.

— Jednak ja tego Antoniego bardzo lubię, odezwała się Frania. Prawda że ma mało, ale zawsze więcej od nas.

— A jakże Bonawentura? zapytała Klarka. Uważałam że był tobą bardzo zajęty.

— Jak zwykle, dowcipkował, prawił grzeczności, śmiał się, chychotał, ale to wszystko było bez żadnego znaczenia...

— Ej! bo nie umiałaś wziąść go w obroty. Przecież Bonawentura przy Anzelmie to jak młodzieniaszek.

— Być może, ale wolę Antoniego, tak mnie poczciwiec kocha... nie miałabym serca gdybym go zawiodła.

Klarka westchnęła.

— Wiesz że tego Antoniego, rzekła, zaczynam ci potroszku zazdrościć. Czuć że mnie ktoś kocha, to musi być rozkosz nie do opisania... Mieczysław niby to mnie kocha, ale jednak nie tak jakbym pragnęła. W najczulszych jego wystąpieniach, zawsze lękam się aby mnie nie ukąsił.

— Oh! Antoni moja droga inny zupełnie.

— To trzeba skończyć kiedy ma już pomieszkanie.

— Mówiliśmy z sobą o tem i dziś mamy się ostatecznie naradzić.

— Ja tylko najgorzej stoję, odezwała się Klarka, i nie wiem co z sobą zrobić. Anzelm przyjdzie pewno i oświadczy się... na Mieczysława niepodobna dłużej czekać. Jeżeli Anzelm się oświadczy to mniejsza, ale jeżeli nie... to Mieczysława na gwałt trzeba trzymać przy sobie; tylko jak to robić żeby się nie domyślił naszego krytycznego położenia?

— Poradzimy jakoś na to, ale wiesz co Klarciu że mi się jeść chce porządnie. Już południe dochodzi a my nic w ustach nie miały.

— I mnie to samo, potwierdziła Klarka, ale nic nie pomoże, trzeba czekać na powrót mamy.

W tem w drzwi do kuchni zapukano. Panny umilkły i ani się poruszyły.

— To ja proszę pani, odezwał się głos z sieni.

— Ach! to Franek! zawołała Klarka podchodząc ku drzwiom. Cóż nam powiesz? Jesteśmy nieubrane...

— Przyniosłem panienkom węgorzyka, co mi dał Wicuś za pomoc przy urządzaniu wędek. Niewielki co prawda, ale zawsze więcej jak funt zaważy.

Panny aż się rozśmiały, Klarka otworzyła drzwi, odebrała podarunek, obdarzyła dawcę uściskiem ręki i przez szparę mignęła na niego uśmiechem niezmiernie wdzięcznym.

— Ale to nie koniec twej usłużności mój Franku, odezwała się.

— A co panienka każe?

— Mama wyszła z domu, wzięła klucze od komody i wystaw sobie że jesteśmy bez grosza a tu obiad się zbliża.

— A to ja kupię co potrzeba.

— A czy masz pieniądze?

— O tym czasie byłbym bez pieniędzy, kiedy gości w kąpieli jak nabił? Znajdą się panienko, znajdą.

— Jak tylko mama powróci zaraz ci oddamy...

— Czyż to ja nie wiem...

— Kup więc nam butelkę piwa, bułkę chleba i funt solonego masła.

— Z duszy serca panienko, za kwadrans najdalej będę z powrotem, bo mi się spieszy do łazienek, i wybiegłem tylko na chwilkę żeby przynieść węgorzyka.

Aż zadudniło co Franek tak spiesznie pobiegł, panny wróciły do pracy.

— Prawdziwie Bóg nam zesłał Franka na pomoc, odezwała się Frania, bo już z sił prawie opadam.

— To też ufam Bogu zupełnie, że nas z naszego nieszczęścia wyratuje.

— Jakiż ten Franek poczciwy jak o nas zawsze pamięta.

— To prawda że pamięta, odrzekła Klarka, ale mi się zdaje że to nie z samej tylko poczciwości.

Klarka spojrzała na Franię znacząco i po chwili mówiła dalej:

— Żebyś wiedziała jak on na mnie nieraz spogląda, jak się miesza gdy ze mną mówi, jak czule w rękę całuje choćby sto razy gdybym na to pozwoliła...

— Teraz się niezmiernie odmienił, zrobił się grzecznym, delikatnym w wysłowieniu, jakby stał się innym Frankiem nie tym gburem co był przedtem.

— I ja to uważałam, czyżby tak z zalotów do mnie? zapytała Klarka i rozśmiała się. Istotnie, byłoby to zabawne!

— Może że i z zalotów, kto to wie...

— Co też mówisz! Do naszego nieszczęścia tegoby tylko jeszcze brakowało, żeby ludzie zaczęli mnie posądzać o zaloty Franka Skowrona.

— Zapewne że to byłoby okropne. Coby na to powiedziała nasza rodzina i znajomi!

— Ach! aż mi się słabo zrobiło.

Panienki zajęły się przerwaną robotą; niebawem nadbiegł Franek zdyszany, przyniósł kupione wiktuały i parę wiązek drzewa, aby na wszelki wypadek nie brakło paliwa. Panny podziękowały, uściskały poczciwą rękę co je tak wsparła niespodziewanie, Franek ucałował paluszki, ale mało się już rozgadywał, bo się spieszył do gości.

— Patrz Franiu, poczciwiec nawet o drzewie pamiętał, a rzeczywiście mogło go braknąć.

— Przewidujący i praktyczny, odrzekła Frania.

Zaprzątnięto się żywo około ognia i przygotowania posiłku. Miano zrobić zupę z piwa a węgorza zostawić do powrotu matki, aby nad jego oprawieniem czasu nie mitrężyć. Tymczasem posilały się kawałkami chleba z masłem.

— Jakie smaczne masło, odezwała się Frania dmuchając na ogień gdy Klarka chleb krajała. Jak ten Franek zna się nawet na gospodarstwie kobiecem...

— Tego stanu ludzie jak Franek, to się na wszystkich podobnych szczegółach znają wybornie. I nic dziwnego, muszą być kucharkami, praczkami, szwaczkami...

— Tak jak my moja Klarciu.

— Tak jak my na nieszczęście.

— A dlaczegóżby to miało być nieszczęściem? Ja czuję moja Klarciu, że zostawszy żoną Antoniego i wiedząc co mam a czego mieć nie mogę, wszystkie te obowiązki spełniać będę z największą przyjemnością.

— Nie wątpię, zwłaszcza jeżeli pokochasz Antoniego...

— Ja go już kocham moja Klarciu...

— Widzę to, gdyż inaczej Bonawentura byłby twoim, a ten małomówny Antoni taki jakiś niezdara, tak niepocieszny w każdem poruszeniu...

Franię to cokolwiek ubodło.

— Już tylko moja Klarciu, przerwała, nic mi nie mów złego na Antoniego, bo choć nie umie tak rozumnie rozprawiać jak twój patykowaty Mieczysław...

— Tylko bez tych dodatków, przerwała Klarka czując się troszkę w obowiązku bronienia narzeczonego. Nic w ten nie ma przyjemnego.

— Wybacz moja kochana, ale i Antoniego zbyt ostro osądziłaś. Prawda że nie umie tak rozumnie wszystko wyszydzać i lekceważyć jak Mieczysław, że się nie szasta, nie rozwala i nie obiada nas z nogami, ale za to każde jego słowo z jakiem się ode-

zwie, tak jest serdeczne i poczciwe, że przechodzi wprost do serca i dziwną je napełnia błogością. Przy nim o wszystkiem zapominam, zdaje mi się że nam nic nie brakuje, że nic nie kłopocze, na co spojrzę to mi się zdaje że się uśmiecha, że mi wróży lepszą dolę. Powiem ci nawet więcej, że w naszych biedach przez jakie przechodzimy, gdy mnie ogarnie rozpacz i ostatnie zniechęcenie, gdy pomyślę o nim natychmiast się uspakajam i staję się raźniejszą i ufającą w lepszą przyszłość. Oh! ten Antoni, to prawdziwy mój anioł opiekuńczy, bez niego to zdaje mi się żebym dawno zwaryowała.

Frania zarumieniona, poruszona, umilkła; Klarka patrzyła na nią ze zdumieniem jakby na natchnioną, jak na nowość której oglądania nigdy nie spodziewała się. Błyszczały jej oczy, uśmiechały policzki, poruszały usta... Gdy wreszcie Frania skończyła, rzekła po chwili:

— Opowiedziałaś to wszystko z taką wymową, do jakiej nie sądziłam żebyś była zdolną. Czyżby to miłość przez ciebie przemówiła...

— Nie wiem moja kochana, odrzekła Frania z pewnem roztargnieniem.

— I ja także nie wiem, nie znam miłości, nie myślałam o niej nigdy, tylko o jak najprędszem wydaniu się za mąż, żeby nie umrzeć z głodu. Jeżeli więc to miłość przez ciebie przemówiła...

— Wypowiedziałam to co czułam.

— Oh! jakżebym pragnęła posiąść takie uczucie. Cóż to za skarb, co pozwala o wszystkich troskach zapomnieć nawet o nędzy dzisiejszej. Na samo przypuszczenie podobnego szczęścia dziwne przejmuje mnie uczucie. Zaczynam go się domyślać, pojmować, łaknąć... ale próżne to zachcianki. Ani Anzelm ani nawet Mieczysław nie obudzają go we mnie. Przy nich przeciwnie, troska się wzmaga, wszystko uciska, dręczy, dolega i zamiast krzepić, wyczerpuje. Ah! Franiu, Franiu, jakże ci zazdroszczę twego Antoniego.

— O! moja Klarciu, zawołała Frania przysuwając się do zgnębionej siostry, to nie przymuszaj się ani do jednego ani do drugiego.

— A cóż zrobię z sobą, gdy prędzej lub później zostanę z matką bez dachu i chleba?

— To się do nas przeniesiecie, choć szczupło pomieścimy się jakoś. Nie płacąc za mieszkanie, opał i światło, pracą wspólną zarobimy na twoje i matki utrzymanie. Antoni poczciwy nietylko nie sprzeciwi się temu, ale jestem przekonaną że niezmiernie się ucieszy iż się nie rozdzielimy. On tak szanuje naszą matkę a ciebie prawdziwie kocha jak siostrę.

— Wszystko to bardzo piękne, biedę załatamy tylko na czas jakiś, ale co będzie za rok, za dwa albo za dziesięć, gdy się zacznę starzeć, z sił opadać a nasze poczciwe matczysko zupełnie zniedołężnieje?

— Co tam myśleć o tem, co tam będzie za rok albo za lat dziesięć! My nie wiemy często co się z nami jutro stanie a jednak nie przepadłyśmy, to i wy nie przepadniecie. Tu rzecz najważniejsza jak się wyratować z dzisiejszej naszej biedy...

— Zapewne ale i starą panną zostać nie mogę, szepnęła Klarka. Idziesz ty za mąż to i ja wyjść muszę...

Zupka z piwa właśnie zawrzała w garnczku, omaszczono ją, osolono, biedne dziewczęta spożyły ją z wielkiem apetytem i z nowem ożywieniem zabrały się do pracy.

— Niech mu Bóg da zdrowie temu poczciwemu Frankowi, odezwała się Frania nawlekając igłę. Omdlewałam prawie z głodu, wczoraj tak mało jadłyśmy a dziś nic jeszcze a tu już południe minęło. Żebyś wiedziała Klarciu jakie sobie sprawił porządne ubranie ten poczciwy Franek, toby się i Mieczysław jego nie powstydził. Przyszło mu niezmiernie tanio, bo krawiec, codzień bywający w kąpieli bardzo lubiący Franka, policzył tylko koszta materyału i zapłatę czeladnika. Chłopak oszczędny, porządny, składa co tydzień część zarobku w kasie oszczędności, bo chce kupić łazienki z omnibusem przy których jest posługaczem.

— A zkądże się dowiedziałaś o tych wszystkich szczegółach? zapytała Klarka z pewnem niezadowoleniem a nawet źle ukrytem szyderstwem.

— Sam mi to opowiedział i pokazywał nawet książeczkę kasy oszczędności. Kiedym go pochwaliła to oświadczył mi, że nam to wszystko winien, że przez nas tak się odmienił i radby nie jeść i nie spać aby tylko przyjść do czegoś co wie żeby nas uradowało.

— A niech mu Bóg dopomaga, odrzekła Klarka i zaraz potem dodała: ale co to jest że mama jeszcze nie wraca?

— Wczoraj później wróciła.

— Tak, to prawda, ale dziś jestem jakoś niespokojną, jakaś dziwna trwoga mnie przejmuje, jakby przeczucie wielkiego jakiegoś nieszczęścia.

— Ah! nie mów tego, szepnęła Frania z westchnieniem... A tyle nas bied trapi.

— A może mama zgubiła odebraną należytość?

— Czyżby mogła być tak nieuważną?

— Zgubiła kapelusz z głowy w młodych latach, to pieniądze łatwiej w Warszawie stracić. Tylu kieszonkowych jest złodziei.

Frania uznała słuszność obawy Klarki, ale starała się ją uspokoić.

— Do naszego nieszczęścia jużby nic więcej nie brakowało, rzekła, jak zguba pieniędzy.

— Ach! to prawda! potwierdziła Klarka i obie zamilkły zastanawiając się nad przypuszczalną okropnością swego położenia.

Szczelnie zamknięte i obarykadowane różnemi zasłonami w oknach i we wszystkich szparach, w drzwiach i zamkach, pracowały prawie w milczeniu, czasem tylko coś do siebie przemawiając: czas płynął, godziny mijały, a tu pani Mikłockiej ani śladu jakby kamień w wodę rzucony. Panny coraz więcej zaczęły się niepokoić, podsłuchiwały, zrywały się ku drzwiom ile razy najmniejszy szelest dał się pod niemi słyszeć i zawsze zawiedzione wracały do przerwanej pracy. Wreszcie wybiła szósta na zegarze u rzeźników na górze, głosem dzwonu bernadyńskiego, którego rzeźnik szczególniejszym był wielbicielem. Zawsze, mówił, wiem która godzina, i w nocy choć chrapię że aż ściany się trzęsą, to rachuję i wiem kiedy mam wstać do roboty.

— Już szósta! zawołały panny a mamy jeszcze nie widać. Z pewnością jakiś wypadek ją spotkał. Co my zrobimy, jeżeli nie wróci.

Nagle zastukano w drzwi od sieni i dał się słyszeć głos pani Mikłockiej, ale jakiś bardzo zmieniony, tak że panny nie odrazu go poznały.

— No, otwórzcie, mówiła, czyż mnie nie poznajecie?

Kluczem w tej chwili zakręcono, zasówkę odsunięto i pani Mikłocka z kapturem w ręku i z rozczochranemi włosami weszła do kuchenki.

— Ah! myślałam że nie dojdę do domu, tak omdlałam z gorąca! zawołała siadając na łóżku.

— A pieniądze czy mama przyniosła?

— To też przez nie tak pędziłam co tchu starczyło.

— Ale czy mama ma je? zapytały dziewczęta strwożone jakby stały nad przepaścią.

— Przecieć po nie chodziłam.

— Gdzież są, niech mama da natychmiast.

Pani Mikłocka z za gorsu wydobyła mały woreczek na sznureczku zawieszony. Było w nim dziesięć blizko rubli.

— A mama zkąd nabrała tyle pieniędzy. Kiedy się jeszcze tylko pięć rubli należało?

— Jużcić wzięłam kiedy dali.

Klarka wiedziała że się od matki nic nie dowie, jeżeli zostawi jej samej całej sprawy wyjaśnienie. Postanowiła więc z innej zacząć beczki. Nadzwyżką, jakkolwiek bardzo pożądaną, zaniepokoiła się. Lękała się czy nie jest wypływem litości ludzkiej nad ich biedą, czego bały się niewymownie. Zaczęła więc narzekać na tak długą nieobecność, niespokojność ich i na najgorsze przypuszczenia; pani Mikłocka słuchała cierpliwie sapiąc i obcierając się, wreszcie odrzekła:

— Jakże miałam wracać kiedy pieniędzy nie dali? Pan Hess zawsze mówił: czekaj, zwlekaj, ale nie uciekaj, ja też nie uciekałam i siedziałam, precz siedziałam i powiedziałam, że choćbym wrosnąć miała siedzieć będę.

— Bardzo rozumnie mama zrobiła.

— Ej! to mała rzecz, przecieć ksiądz kanonik to zawsze mówił: co głowa to rozum, a wuj dodawał: albo główka kapusty jak u naszej pannusi. To mnie pannusią nazywali.

— Więc mama siedziała?

— A czyżbym tyle godzin wystała? Siedziałam na kuferku pod oknem i co szepnę sobie: żebym wrosnąć miała a nie ruszę się! to pani Kowalska spojrzy w górę i odrzecze: a to czyste z tą babą nasłanie. Tak ja buch! pięścią w kufer i mówię, baba nie baba, tylko Mikłocka z Mikłockich a wojewodę mam u siebie na ścianie. I tak przygadywaliśmy sobie, ona od babów, a ja zastawiałam się wujem, panem Hessem i księdzem kanonikiem. Co przycichnie i ja się zdrzemnę, to ona buch! w podłogę czem twardem, a ja ocykam się i wołam: Wszelki duch pana Boga chwali! Raz chłopiec jej przewrócił na mnie parawan umyślnie, a ja zmiarkowałam to i wszystko co było na nim zawieszone zrzuciłam na ziemię. Masz tobie! rzekłam, kwita z byka za indyka, jak pan Hess przy kartach zawsze powiadał, a chłopiec pociągnął palec po palcu i śmiejąc się mówił: gzyk, gzyk marchewka, rzodkiewka! A ja nic, tylko siedzę, co prawda kręciłam się, wierciłam, alem siedziała i ciągle mówiłam, żeby mi przyszło wrosnąć..

— I cóż potem się stało? przerwała Klarcia.

— A nic, tylko przyszedł Kowalski, rzucił mi pieniądze i tak zaklął, że ażem się przeżegnała.....

— A potem?

— Potem nic, tylko mi drzwi grzecznie otworzył i powiedział, żebym sobie poszła do wszystkich dyabłów. Tak ja rzekłam na to, że ksiądz kanonik zawsze mówił, że kto dyabłów mową wyciąga, ten musi być wielkim ladaco...

— No dobrze już, dobrze, ale cóż potem się stało?

— A nic, tylko powiedział, jakem już była w sieni, że jak jeszcze raz przyjdę do nich, to mnie zrzuci ze schodów i wszystkie zęby powybija. Nie wiem jak to będzie gdy mi wypadnie jutro znów do nich podyrdać...

— Przecieć już oddali, to pocóżby mama do nich chodziła.

— Ah! prawda, zapomniałam. Bogu dzięki, bo pan Hess zawsze mówił, że zęby to jak ręce, bez nich nic nie poradzi.

— Gdzież mama potem poszła wyszedłszy od Kowalskich?

— A gdzieżby jak nie do domu?

— A czy mama nie spotkała przypadkiem kogo?

— A jakże, spotkałam Fabsztajnową i jakem zaczęła z nią gadać, żalić się, płakać nad naszą biedą,

tak i jej się łzy zakręciły i dała cztery ruble zaliczki na robotę.

Klarka uspokoiła się, przewyżka była zaliczeniem nie jałmużną, mogła więc ją przyjąć bez wstydu. Matka niespodziewanie sprawiła się po bohatersku, przyniosła pieniędzy więcej niż się spodziewano i to w chwili tak dla nich krytycznej. Miały więc głowę uspokojoną przynajmniej na tydzień, więcej niż pragnęły, a przez tydzień ileż to jeszcze zrobić można, ile powziąść postanowień, ile wynaleźć środków ratunku. Biedaczki!

Matka wygadawszy się, umilkła nagle i wachlując się chustką chwiała głową z wielką niespokojnością. Zbladła przytem jak ściana, opuściła ręce, głowę w tył poręczy zwiesiła.

— Mamo, co mamie jest? zawołały córki z trwogą.

— Słabo mi, słabo, szepnęła pani Mikłocka z wysiłkiem.

— A czy mama jadła co?

Biedna kobieta potrząsnęła głową z przeczeniem. Podano jej chleba z masłem i resztkę zostawionej dla niej zupy piwnej, na której odgrzanie już nie było czasu. Pani Mikłocka posiliwszy się przyszła cokolwiek do siebie, córki zaczęły jej wymawiać dziwiąc się, że wracając z pieniędzmi nie wstąpiła choć na kawę.

— Kowalscy jedli obiad, odrzekła, mieli zupę szczawiową, sztukę mięsa z ogórkami i kapłona tak wielkiego jak źrebię, to jakże mogłam myśléć o kawie? Myślałam też o obiedzie, ale mnie nie zaprosili.

— To dobrze, ale kawy mogła się mama potem napić.

— Myślałam i o niej później, ale mi zaszła drogę Fabsztajnowa, i jak się we mnie z tego żalu wszystko poruszyło, tak zapomniałam o kawie, bo ksiądz kanonik zawsze mówił, że dzieci więcej znaczą jak oczy w głowie i głód matce nie tak dokucza jak łzy dzieci płaczących z niedostatku. Wspomniałam też na was i raz poraz sięgając do woreczka biegłam żem ledwo nóg nie pogubiła. Raz nawet zdało mi się że mi się gdzieś zadziały, alem się o mur oparła, spoczęła a i tak dowlekłam się...

Córki z uczuciem serdecznej miłości, ze łzami w oczach ucałowały ręce matki, która zapomniała o sobie a o nich tylko pamiętała. Jakże ją nie miały kochać pomimo całej oryginalności i niemal niedołęztwa umysłowego. Ucałowały ją też szczerze, nażaliły się, zaleciły większą pamięć na siebie i zaraz się zabrały do przygotowań na przyjęcie spodziewanych Mieczysława z Antonim.

W tem do drzwi gwałtownie zapukano, dał się słyszeć jakiś głos niecierpliwy, poruszanie klamki, znowu powtórnie zakołatano, panny smyrgnęły do drugiego pokoju, w kuchni pozostała sama matka.

— Kto tam taki? zapytała.

(d. c. n).

CZERWONY DOKTÓR.

(z opowiadań lekarza)

PRZEZ

Aldę de Gravas.

(Dalszy ciąg).

VI.

W tydzień potem doktór Riberac i córka jego byli już w Nicei. Pan du Hamel zniewolił ich do zamieszkania w jego domu. Ludwika, od pierwszej chwili przyjęta przez panią i pannę du Hamel jak córka i siostra, ucieszyła się że ojciec uległ naleganiom starego przyjaciela.

Dom pana du Hamel był tak obszerny iż mógł z łatwością pomieścić swoich gości, a przytem wiedząc że przyjaciel jego nie jest bogaty, pragnął delikatnie przyjść mu w pomoc.

Jesień i zima przeszły szczęśliwie; zdawało się iż choroba Ludwiki nie rozwijała się. Podobna do na wpół zwiędłego kwiatu, który wystawiony na słońce i rosę nagle podnosi główkę i odzyskuje świeżość, młoda dziewica zatrzymała się na drodze do śmierci, na której codziennie jeden krok dalej postępowała. Obaj doktorzy, uradowani tem niespodziewanem polepszeniem, obiecywali sobie że zupełnie przyjdzie do zdrowia. Pani du Hamel i córka jej Adela były przekonane że żadne już pięknej dziewicy nie grozi niebezpieczeństwo. Sama jedynie Ludwika nie łudziła się nadzieją, choć tego nie okazywała nikomu, a szczególniej ojcu. Niekiedy tylko nadmieniła coś o tem w poufnych rozmowach z Adelą którą pokochała jak siostrę, wtedy przyjaciółka gniewała się na nią, płakała a w końcu pocałunkiem zamykała jej usta. Na samą myśl że może utracić tę ukochaną istotę, tak młodą, piękną i obdarzoną najpiękniejszemi przymiotami duszy, łzy stawały w oczach Adeli, serce ściskało się boleśnie.

Otaczała Ludwikę najtkliwszemi staraniami, na jakie tylko najszczersza przyjaźń zdobyć się może. Pan du Hamel powiedział córce, do jak wzruszających postępów uciekała się panna Riberac aby ukryć przed ojcem straszną prawdę, jak tylko się poznały bliżej. Adela chciała koniecznie stać z nią w jednym pokoju, mimo oporu Ludwiki, która sama nie mogąc sypiać, nie chciała jej także skazywać na bezsenność. Tym sposobem stosunek ich stał się ściślejszym w kilka miesięcy, niż w kilka lat w zwykłych okolicznościach życia. Była to przyjaźń szczera, serdeczna, bezinteresowna; Adela podziwiała ukształcenie, szlachetność uczuć i piękność Ludwiki; Ludwika unusiła się nad dobrocią, słodyczą charakteru, wzniosłością serca Adeli. Były to, każda w swoim rodzaju, natury wyższe, wybrane, pojmujące się i uzupełniające wzajemnie.

Zima, będąca w Nicei tem co gdzie indziej najpiękniejsza wiosna, przeszła szczęśliwie i zdawało się że zdrowie Ludwiki zaczyna się poprawiać, ale w końcu marca, kaszel który nigdy nie opuścił ją zupełnie zaczął się powiększać, bezsenność powróciła. Adela zaraz zawiadomiła ojca, lecz wszelkie środki okazały się bezskuteczne, stan zdrowia Ludwiki pogorszał się widocznie.

Przez pewien czas pan du Hamel łudził się nadzieją że może to tylko czasowe pogorszenie, ale bladość i osłabienie wzmagały się z każdym dniem. Pewnej nocy głośny krzyk rozległ się z pokoju zajmowanego przez Ludwikę i Adelę; państwo du Hamel pobiegli tam natychmiast. Adela blada, zalana łzami, trzymała w objęciach zemdloną Ludwikę.

— Na miłość Bozką! uspokój się, zawołał pan du Hamel; może to tylko chwilowe omdlenie; krzyk twój może przerazić jej ojca.

To powiedziawszy przysunął się do łóżka, rozsunął lekko ręce córki trzymające Ludwikę i zaczął egzaminować chorą.

— Jest to tylko zemdlenie, rzekł smutnie potrząsając głową, ale nie ma nadziei, parę jeszcze takich ataków i pożegna nas na zawsze, a zwracając się do żony, dodał: Nie ma co odwlekać, poślej do proboszcza aby przybył niezwłocznie.

Pani du Hamel wyszła z pokoju, Adela głośno płakała.

Pomimo środków przedsiębranych przez pana du Hamel, Ludwika nie odzyskiwała przytomności; chciał posłać po pana Riberac, gdy wtem tenże na wpół ubrany wpadł do pokoju.

Obudził się usłyszawszy otwieranie bramy, słysząc niezwykły ruch w nocnej porze, przeczuł iż córka jego musi być gorzej, i przybiegł drżący i przerażony.

Gdy spojrzał na twarz jej nieruchomą i śmiertelną pokrytą bladością, straszny, dziki krzyk bezmiernej boleści wydarł się z jego piersi; zachwiał się, lecz wysiłkiem woli zbierając siły, pobiegł do łóżka i pochylając się nad córką, wołał głosem tłumionym łzami:

— Ludwiko, córko moja, dziecię moje jedyne!..

To rozpaczne wołanie ojca nie ocuciło Ludwiki; straszny był widok boleści nieszczęśliwego starca, stojącego przy śmiertelnem łożu ostatniego dziecka.

— Uspokój się, błagam cię, Ludwika odzyska przytomność, to tylko silne omdlenie.

— Może dziś ocuci się jeszcze, a jutro atak się ponowi i stracę ją na zawsze. O! moje ostatnie, jedyne, ukochane dziecię!... A! jestem przeklęty! przeklęty!

I obłąkany rozpaczą, rwał włosy, załamywał ręce, uderzał czołem o łóżko.

Widząc że wszelkie przełożenia jego są bezskuteczne, pan du Hamel przysunął się do córki, która klęcząc przy łóżku modliła się płacząc.

— Módl się, moje dziecię, rzekł żywo wzruszony, módl się, nie za tego anioła który wraca do nieba, ale za nieszczęśliwego starca, który nie umiejąc ukorzyć się przed wolą Bożą, szalonej oddaje się rozpaczy.

Riberac usłyszał te słowa, zbliżył się do nich i spoglądając gorączkowym wzrokiem, zawołał drżącym głosem:

— Dotąd w nic nie wierzyłem i po za grobem niczego się nie spodziewałem, jeśli Bóg wasz istnieje i jeśli zachowa mi moje jedyne dziecię, przysięgam uroczyście iż stanę się najgorliwszym, najwierniejszym jego sługą i wyznawcą. Powiedzcież mi, czy modły wasze mają tę siłę aby wyjednały u Boga iżby przyjął resztę mego życia w zamian za dotychczasową niewiarę?...

Pan du Hamel i Adela milczeli nie wiedząc co odpowiedzieć; wtem wszedł kapłan wprowadzony przez panią du Hamel; Riberac zwrócił się do niego.

— Panie, zawołał, Bóg chce mi zabrać ostatnie moje dziecię, jedyne moje szczęście, jedyną pociechę mej starości. Cud tylko mógłby ją ocalić. Módl się do swego Boga, a jeśli zrobi ten cud, jeśli ją odzyskam, poświęcę Mu całe życie moje i umrę błogosławiawiąc i wielbiąc Jego Imię. Dotąd nie wierzyłem w Boga, nie umiem się modlić, ale ty, kapłanie, módl się za mnie, ulituj się nad nieszczęśliwym ojcem który cię błaga na kolanach.

— Powstań pan, rzekł łagodnie kapłan, przed Bogiem tylko klękać powinieneś i Jego błagać litości, bo On jeden jest wszechmocnym. Mylisz się pan mówiąc że nie umiesz się modlić; przemów do Stwórcy jak mówisz do Jego sługi, a może cię wysłucha, bo jest równie miłosierny i dobry, jak wielki i sprawiedliwy.

— Pan jesteś kapłanem, nawykłeś się modlić, módl się za mnie.... przyrzeknij że będziesz się modlić, powiedz mi że Bóg cię wysłucha...

— Nie mogę pana zapewnić że Bóg mnie wysłucha, choć jest wszechmocnym, bo On wie sam najlepiej co nam potrzeba, a najchętniej słucha modłów tego co najkorniej poddaje się Jego woli... I ja i przyjaciele pana będziem się modlić, nie rozpaczaj pan....

— Ludwika odzyskuje przytomność! krzyknęła Adela, stojąca przy jej łóżku.

Riberac, du Hamel i kapłan zbliżyli się do łoża. Ludwika uśmiechnęła się do ojca który pochwycił jedną jej rękę, a zobaczywszy kapłana, rzekła:

— Ach! jak dobrze że przyszedłeś, ojcze... Proszę was wszystkich zostawić nas na chwilę, a zwracając się do ojca, dodała: Lepiej mi, kochany ojcze, uspokój się... do widzenia.

Wyszli do drugiego pokoju; aby się nie oddalać bardzo, pan Riberac pozostał blizko drzwi i ukląkł obok Amelii. Pierwszy to raz ugiął kolana od czasu jak przestał być dzieckiem; płakał, ale boleść jego była spokojniejsza.

Odbywszy spowiedź, Ludwika prosiła kapłana aby się modlił żeby Bóg pocieszył jej ojca.

— Przyrzekam ci to, moja córko, ale może jeszcze Bóg pozwoli ci wrócić do zdrowia.

— Nie, mój ojcze, wiem, czuję że umrę, i nie lękam się śmierci, żal mi tylko mego sędziwego ojca. Módlmy się za niego.

Kapłan padł na kolana przed stojącym na stoliku krucyfiksem, i gorąca modlitwa uleciała przed tron Przedwiecznego.

VII.

Piękny to i zajmujący widok dla mieszkających w Nicei, gdy równo ze dniem patrzyć może na przybywające z okolic kobiety, przynoszące na targ różne produkta.

Wieśniaczki są w ogóle wysokie i pięknie zbudowane; czarne lub bardzo ciemne włosy zapinają w dyadem po nad czołem i ustawiają na głowie kosze pełne kwiatów, owoców lub jarzyn. Nawet owoce i jarzyny przysłaniają kwiatami, których wszędzie jest aż do zbytku.

Dnia 1 maja, owego miesiąca w którym powietrze tak mocno jest nasycone miłą wonią drzew pomarańczowych, wieśniaczki tłumnie przychodziły do miasta. Sezon gości cudzoziemskich miał się ku końcowi, a z nim kończył się czas największych zysków i korzyści. Wietrzyk wiejący od morza, mile chłodził powietrze; trudno było oderwać oczu od tych pięknych wieśniaczek z iskrzącemi oczami i rozkosznym uśmiechem na ustach, obciążonych tak ponętnym ciężarem.

Nie można było nie dostrzedz wyraźnej zmiany zachodzącej w ich twarzy, gdy zbliżały się do domu stojącego przy placu Marmurowego Krzyża. Zatrzymywały się, patrzyły na dom, zapytywały, i smutnie wstrząsając głową, odwracały się do nadchodzących, mówiąc im w swojem włosko-francuzkiem narzeczu.

— Ta młoda, piękna Francuzka, umarła wczoraj.

Był to dom pana du Hamel, a wiadomość, niestety! była prawdziwa. Ludwika miesiąc blizko walczyła ze śmiercią; ojciec, nieodstępował ją ani na chwilę, wszelkiemi środkami jakie tylko medycyna podać może, przedłużał jej życie, podniecając, o ile to było w mocy ludzkiej, resztki płomienia znajdującego się jeszcze w tej dogorywającej lampie. Ale nadeszła nieodwołalna godzina; Ludwika leżała martwa w pokoju w którym wczoraj zasnęła snem wiecznym na ręku ojca. Żaluzye były spuszczone, i tylko płonące świece oświetlały pokój, do którego nie dochodziło światło dzienne.

Blade światło świec woskowych padało tylko na łóżko, nie oświetlając całego pokoju.

Wielkie, rozpuszczone włosy Ludwiki spadały na poduszkę; nad czołem był wieniec z białych róż bez liści. Rysy, nacechowane tym najwyższym i uroczystym spokojem jaki śmierć tylko nadać może, nie zachowały śladów przebytych cierpień. Usta były nieco otwarte jakby do śmiechu, spuszczone powieki przysłaniały oczy pozbawione wzroku. Gdyby nie zupełna nieruchomość zdradzająca iż życie uleciało, możnaby myśleć że dziewica śpi spokojnie. Ręce złożone zdawały się błagać jeszcze o błogosławieństwo.

Pan Riberac siedział przy łóżku; w pewnej oddali dwie kobiety modliły się klęcząc. Nieszczęśliwy ojciec zmienił się do niepoznania. Gęste i długie siwe włosy, tak niedawno jeszcze jakby śnieżnym zawojem otaczające męzką twarz jego, przerzedziły się; postawa prosta pochyliła się ku ziemi. W surowych rysach twarzy można było czytać wyraz bezmiernej ale niemej rozpaczy. Łzy nie płynęły z oczu; chwilami wlepiał wzrok w bladą twarz córki a na stępnie zamykał oczy, a wtedy twarz jego tak straszny przybierała wyraz, że patrzącego nań przejmowała dreszczem.

Od chwili śmierci Ludwiki nie przemówił jeszcze ani słowa, nie odstępował jej łoża.

Pan du Hamel sam zajmował się pogrzebem, i zgodnie z objawionem uprzednio życzeniem przyjaciela, kazał zrobić ołowianą trumnę, chociaż Ludwika miała być pochowana w Nicei. Ósma godzina wybiła; Adela z ojcem weszła do pokoju.

Uklękła chwilę przy śmiertelnem łożu, potem ocierając łzy twarz jej zalewające, zbliżyła się do zmarłej, złożyła na jej czole pożegnalny pocałunek i płacząc głośno wyszła z pokoju.

Pan du Hamel mówił do przyjaciela, ale Riberac zdawał się nie słyszeć słów jego.

— Proszę cię, chodź ze mną, mówił, probując go wyprowadzić; nie zdołasz przenieść tego strasznego widoku; chodź ze mną, błagam cię!

Pan Riberac szorstko wysunął rękę, i odrzekł tylko:

— Zostanę, niech przyniosą trumnę.

Pan du Hamel skinął na człowieka stojącego we drzwiach; otworzono je i dwóch ludzi wniosło trumnę.

Daremnie du Hamel pragnął nakłonić przyjaciela aby wyszedł z pokoju; wtedy klęczące kobiety powstały aby spełnić smutne swe posłannictwo. Pan Riberac wstał nagle, odsunął je ręką i zbliżył się do zwłok córki.

Stał kilka minut z głową zwieszoną i opuszczonemi rękami, wpatrując się rozpaczliwie, potem nie odwracając się zawołał: Nożyczek!

Podała mu je jedna z żałobnych kobiet; pewną ręką uciął promień rozpuszczonych włosów, poczem ujął rękami głowę córki i zaczął całować jej twarz martwą.

Był to ostatni uścisk, ostatnie pożegnanie; odstąpił chwiejąc się i upadł na krzesło. Żałobne kobiety włożyły zwłoki do trumny i zamknięto wieko. Rozpaczliwy krzyk rozległ się w powietrzu, wyniesiono trumnę pokrywszy ją białym całunem, na którym położono wielki wieniec z białych róż.

Powróciwszy z pogrzebu pan Riberac zamknął się w pokoju swoim i tak pozostał do wieczora.

— Przeraża mnie spokój Riberac'a, rzekł pan du Hamel do żony; mówił zawsze iż nie przeżyje straty córki, lękam się czy nie zamyśla odebrać sobie życia, które odtąd staje mu się ciężarem. Cóż w tak okropnym smutku może pocieszyć człowieka nie wierzącego w życie po za grobowe?

Wtem zapukano do drzwi.

Służący pana Riberac przyszedł oznajmić iż pan jego prosi, aby pan du Hamel zechciał udać się do niego. Poszedł natychmiast.

— Kazałem cię prosić, rzekł do wchodzącego pan Riberac, bo mam do ciebie jedną jeszcze, ostatnią prośbę.

— Spełnię chętnie każde twoje żądanie; cóżbym nie dał żeby w mojej było mocy, choćby najlżejszą przynieść ci pociechę.

— Chciałbym abyś mógł wynaleźć mi mieszkanie w jakiemś miasteczku czy wiosce; nie będę wymagającym, pragnę tylko aby okna wychodziły na cmentarz.

— Czy chcesz pozostać w okolicach Nicei czy wracać do Francyi?

— Wszystko mi jedno, pragnę tylko zupełnej samotności. Możeby gdzie w Alpach, są tam miejscowości odpowiednie moim żądaniom.

— Ale w takich miasteczkach lub wioskach życie...

— Życie! a cóż mnie to obchodzi? przerwał doktór, zwracając na przyjaciela wzrok zagasły; ja tam chcę umierać!

Wypowiedział to tak rozpaczliwym głosem, iż pan du Hamel zadrżał przerażony.

— Umierać! powtórzył, ale jesteś jeszcze zdrów i silny.

— Jestem nadzwyczaj osłabiony; nie sypiam, nie mam żadnego apetytu, cierpię, gorączka mnie trawi, nie będę żyć dłużej nad jakie sześć miesięcy, odrzekł głuchym głosem.

— Ach i czemuż nie przedsiębierzesz środków zaradczych?

Czemu? bo za długo już żyłem, bo życie stało mi się nieznośnym ciężarem... A! dodał, a oczy jego zabłysły ponuro; miałem zamiar odebrać sobie życie przy zwłokach córki, ale uczułem się tak wstrząśniętym, tak osłabionym iż zrozumiałem że mogę zostawić to naturze, i doznaję jakiejś dzikiej radości, badając codzień postępy zupełnego sił upadku.

— Ależ, nieszczęśliwy! tym sposobem popełniasz samobójstwo, a nie wolno nam rozrządzać życiem które Bóg nam dał i sam tylko odbierać nam go ma prawo.

— Bóg... ten wasz Bóg nie chciał wysłuchać błagalnych mych modłów, a prosiłem Go o to tylko, aby dziecię moje ostatnie choćby tyle tylko żyło, żeby mi zamknęła oczy. Rozporządził życiem mojej córki, ja chcę rozporządzać mojem.

— Bluźnisz, zawołał pan du Hamel. Czemuż nie chcesz pojąć że właśnie w tak bolesnych przejściach brak wiary najboleśniej uczuć się daje..... Wyrzekasz się tej ostatniej pociechy i nadziei, że tam, w lepszym świecie możesz jeszcze połączyć się z ukochanymi... Przemawiam do ciebie w imieniu Ludwiki, ona wierzyła!... ciężkiej dopuszczasz się winy przyczyniając się do utraty życia, które do ciebie nie należy i mogłoby być pożyteczne dla drugich.

— I na cóż mi to życie! zawołał z wybuchem rozpaczy. Zostałem sam jeden na świecie, patrzyłem na śmierć wszystkich moich ukochanych... i mogęż jaką bądź przywiązywać cenę do tych nędznych resztek marnego, pozostawionego mi życia?.... O! zrucę jak będę mógł najprędzej ten ciężki łańcuch, którego okowy kaleczą dźwigające go ramiona i zakrwawiają mi serce... wspomnienia i rozpacz mnie dobiją... Ostatnim węzłem przywiązującym mnie do życia była Ludwika, gdy ten się zerwał i ja chcę umierać...

Pan du Hamel pojmował iż w chwilach tak strasznej rozpaczy, Riberac nie zechce słuchać żadnych próśb ani przełożeń. Postanowił wstrzymać się od nich na teraz, licząc na to że może przyjaciel jego stanie się przystępniejszym dla jego rad, gdy gwałtowna boleść choć cokolwiek się uspokoi. Wyszedł aby zająć się spełnieniem jego polecenia.

Pani du Hamel napisała do jednego ze swoich kuzynów, który był proboszczem w małej wiosce położonej w Niższych Alpach, i we dwa tygodnie potem pan Riberac stał się właścicielem małego domku, stojącego przy cmentarzu. Nazajutrz po jego nabyciu, dwa powozy zajechały przed dom przy placu Marmurowego Krzyża; większy był pokryty

godłami żałoby, w mniejszym siedział miły staruszek, ów proboszcz, krewny pani du Hamel.

Wkrótce ukazał się pan Riberac otoczony rodziną swego przyjaciela; wspierał się na jego ramieniu, i zaledwie mógł utrzymać się na nogach. Nie chciał słuchać nalegań przyjaciela, ale nareszcie uległ błagalnym prośbom Adeli i przyjmował zalecone lekarstwa: lecz żadnej nie przyniosły ulgi i wszystko zdawało się wróżyć mu blizki koniec.

Pożegnał panią du Hamel i uścisnął Adelę, która nie mogła powstrzymać się od płaczu na widok trumny Ludwiki, i w krótkich słowach podziękował im za starania i opiekę jaką otaczały córkę jego.

— Zobaczemy się, mówiła pani du Hamel, pan będziesz niekiedy bywał w Nicei.

— Nie, pani, odparł smutnym ale stanowczym głosem. Nie opuszczę domku w którym zamieszkam póki mnie z niego nie wyniosą w trumnie.

Probosz wysiadł z powozu chcąc aby pan Riberac zajął najwygodniejsze miejsce, podziękował mu skinieniem głowy i uścisnąwszy po raz ostatni ręce żegnających go przyjaciół, zbliżył się do żałobnego wozu i usiadł przy trumnie Ludwiki.

Na dany znak obaj powożący ruszyli z miejsca.

Przez kilka chwil jeszcze rodzina du Hamel widziała, przez rozsunięte białe draperye, dwoje wlepionych w nią oczu; poczem draperya opadła, przykrywając jakby grobowym całunem nieszczęśliwego ojca siedzącego przy trumnie córki.

— Nie opuszczę domku w którym zamieszkam, póki mnie z niego nie wyniosą w trumnie, powiedział pan Riberac do pani du Hamel, i dotrzymywał tych słów. Ani razu nie przestąpił progu swego domu, i rozkazał Jakóbowi aby pod żadnym pozorem nikogo do niego nie dopuszczał.

Wkrótce po okolicy rozeszła się wieść, że posępny cudzodziemiec mieszkający w domku przy cmentarzu, jest znakomitym doktorem, liczni chorzy zaczęli się zbiegać aby zasięgnąć jego rady, daremnie, nie chciał widzieć nikogo.

Pan Riberac żył jakby żywcem zagrzebany; wszelkie boleści, radości i w ogóle sprawy ludzkie nic go nie obchodziły. Jakób odpowiadał niezmiennie wszystkim, którzy go błagali aby się za nimi wstawił do pana: że wszelkie prośby i starania na nic się nie przydadzą, że pan jego nie jest już słynnym doktorem ale schorzałym i zrozpaczonym starcem, którego żadna siła ludzka nie zdoła skłonić do zmiany powziętego postanowienia.

Powstawano na tak niegodne samolubstwo, i nie jedno wrogie spojrzenie, nie jeden groźny ruch zwracały się ku oknu, w którem ukazywała się łysa głowa wybladłego starca. Ale starzec ten nie słyszał cichych złorzeczeń biedaków którzy niekiedy o kilka mil zwłóczyli się do niego; nie widział groźnie zaciśniętych pięści; oczy jego zazwyczaj patrzyły w próżnię, lub wlepiały nieruchome spojrzenie w wielką białą tablicę marmurową wspartą o krzyż na grobowcu, na której wielkiemi czarnemi literami napisany był ten prosty a tak wymowny napis:

Ludwika Riberac.

Dwadzieścia lat!

(*d. c. n*).

Korespondencya z Rzymu.

W tem zbliżającem się do końca dziewiętnastem stuleciu, wszystko przyśpieszonym pędzi torem; postać świata się odmienia, ludzie którzy odegrali wielkie role na jego scenie znikają jeden za drugim, a najwymowniejszym dowodem szybkości prądu powodującego coraz nowe zmiany, jest tak nagła i niespodziewana śmieć najpopularniejszego ze wszystkich monarchów, jaka nastąpiła w Rzymie, w Kwirynału. Wiktor Emanuel II-gi pierwszy król włoski, przedwczenie zszedł z tego świata; d. 9 stycznia nie pokonał go wiek podeszły ani ciężkie brzemię tak trudnego panowania, które dźwigał od lat tylu, jeszcze w przeddzień choroby był zdrów zupełnie, a w parę dni potem śmierć wydarła Włochom ich uwielbianego monarchę. Znikł nagle z widowni świata jak przed laty Cavour, doradzca jego, prawdziwie genialny mąż stanu; jak na kilka dni przedtem wierny towarzysz broni jenerał Alfons La Marmora i tylu innych razem z nim występujących na pole czynu. Jednak Wiktor Emanuel mógł umierać z tą pocieszającą myślą, że dokonał zjednoczenia Włoch które wyswobodził z pod jarzma austryackiego, i *wyrażenie geograficzne* według Meternicha, zamienił w pierwszorzędne mocarstwo. To też śmierć jego nie same tylko Włochy pokryła żałobą, odbiła się ona bolesnem echem w całej Europie, pomimo że nastąpiła w pośród tylu wstrząsających ją niepokojów, gdy uwaga i spojrzenia wszystkich ludów zwracają się na Wschód krwią zalany i strasznemi brzemienny burzami.

Tak narody jak królowie, jak i ludzie nawet jako jednostki mają swoje przeznaczenie, czyli raczej swoje do spełnienia zadanie. Gdy Wiktor Emanuel przyszedł na świat d. 14 marca 1820 roku, jako syn księcia Carignan i arcyksiężniczki austryackiej, któż mógł przewidzieć że to dziecię, młodszy syn książęcia skompromitowanego chwilowo rewolucyą z 1821 r. podniesie tak wysoko blask domu Sabaudzkiego, zjednoczy 25 milionów Włochów, panować będzie nietylko w Turynie ale w Neapolu, Medyolanie, Wenecyi, Florencyi, Palermo, i nakoniec umrze w Kwirynalu, jako król włoski uznany przez całą Europę, nie wyłączając Austryi.

Dom Sabaudzki którego potomkiem był Wiktor Emanuel II-gi, jest najstarożytniejszym ze wszystkich rodzin panujących w Europie. Początek jego sięga wieków średnich, tej epoki wstrząśnień, kiedy gmach sztucznej i na gwałtach tylko opartej cywilizacyi, upadał pod ciosami barbarzyńców, przeciw stawiających swą młodzieńczą siłę zmurszałej zgrzybiałości cesarstwa rzymskiego, kiedy cała Europa rozpadała się w rozliczne państewka, zapominając zarówno swej przeszłości, instytucyi, chwały, zwyczajów i zamiłowań.

Dzięki poparciu Karlomana, najmniej znane, najszczuplejsze, najbiedniejsze a przez swe położenie geograficzne najwięcej narażone na napady sąsiadów państewko, dostało się Humbertowi, zwanemu *Biała ręka*, w 1027 r. To hrabstwo Morieńskie składało się z dwunastu miast, z Genewy, Chambery, Embrun, Gafi, Suze, Digne, Sawonny, Barcelonetty, Nicei, Exilleo, Glandeves, Vence i Gracianopolis.

Według dawnych pisarzy, nazwa Sabaudya (Savoja) pochodzi od *Salva via* (pewna droga) bo gościńce tu były najbezpieczniejsze ze wszystkich krain w pobliżu Alp leżących, gdzie napadały bandy rozbójników. Miasta powyższe leżały w tak wielkiem od siebie oddaleniu, iż zapominając że ówcześni książęta byli raczej posiadaczami gruntów lennych niż naczelnikami narodów, możnaby nader mylne powziąść wyobrażenie o rozległości hrabstwa Humberta, które otaczali i przerzynali własnościami swemi hrabiowie i margrabiowie posiadający równie rozległe ziemie, ale daleko bogatsi i potężniejsi. Obok tych miał Humbert groźniejszych i niebezpieczniejszych jeszcze sąsiadów i współzawodników zarazem, jekimi byli książęta Burgundcy, Audegaweńscy, Beringen, Guides, Genueńscy, jakoteż Visconti, Sforza i Medyceuszowie z Florencyi, a szczególnej ci z rodu tych książąt którzy marzyli o tytule i władzy królów włoskich. Dalej cesarze niemieccy, królowie Francyi i Hiszpanii, uważali potomków Humberta za coś podrzędnego, za zawadę którą usunąć wolno; za współzawodników których należy pognębić i zniweczyć.

Jakże to smutna i niepewna przyszłość zdawała się zagrażać domowi Sabaudzkiemu. Potomkowie jego posiadali tak szczupłe i nieuprawne grunta, przewodniczyli tak biednej i nieokrzesanej ludności, i to w epoce kiedy przemysł, ten twórca bogactw i wślad za niemi idącej potęgi, zupełnie jeszcze był nieznany.

Można było przypuszczać że pierwsza silniejsza burza zachwieje go i obali, a przecież ród ten, najuboższy i najmniej potężny ze wszystkich książąt włoskich, sam jeden tylko ze wszystkich współzawodników swoich przetrwał całe wieki i stanął na tak wielkim stopniu znaczenia i potęgi.

Przebiegając dzieje książąt Sabaudzkich, spotykamy wielu znakomitych mężów, odznaczających się bohaterską odwagą, rozumem, prawością i wybornym taktem w przeprowadzaniu lub unikaniu najdrażliwszych kwestyi politycznych, a nadto, ród ten panujących ma tę niezaprzeczoną wyższość nad innymi, że żaden z licznych jego potomków nigdy nie poniżył swego domu. Widocznie Opatrzność czuwała nad rodem który w przyszłości do tak wielkich miała powołać przeznaczeń.

Niepodobna w szczupłych ramach korespondencyi podać choćby pobieżny rys dziejów książąt Sabaudzkich, nie mogę jednak pominąć dziwnie niepojętej, mistycznej prawie postaci Karola Alberta, ojca Wiktora Emanuela.

Nieszczęśliwy ten, do dziś dnia może niedobrze pojęty król i wygnaniec, był niejako uosobieniem średniowiecznych rycerzy. Odważny do bohaterstwa, żyjący jedynie żądzą wyzwolenia swej ojczyzny, jeśli pragnął panować to dla tego jedynie aby mógł silniejszy wpływ wywierać na ludzi i wypadki, skuteczniej poświęcić się sprawie wyswobodzenia Włoch i szczęściu współziomków. Jednak obok najpiękniejszych przymiotów, rozwinęły się w charakterze Karola Alberta pewne wady wynikające zapewnie z jego położenia. Zmuszony taić nieustannie swe uczucia i myśli, nauczył się skrytości, nauczył się nawet niekiedy i udawać, co nieraz dało powód posądzania go o fałsz i nieszczerość. Namiętny i ognisty, a obok tego bardzo pobożny, natura kazała mu się rwać do czynu, a z drugiej strony powstrzymywały go wpływy osób, które wyzyskując jego religijność dla własnego interesu, w fałszywem świetle przedstawiały mu obowiązki katolika i króla i oto zkąd wynikała niepewność, owo cofanie lub zatrzymywanie się na raz obranej drodze, które mu tak gorzko wyrzucano.

Przed wstąpieniem na tron króla Karola Feliksa. Karol Albert, książę Carignan był czasowo regentem państwa: ulegając naleganiom stronnictwa liberalnego które szczerze popierał, dnia 12 marca 1821 r. nadał konstytucyą. Gdy tylko dowiedział się o tem Karol Feliks nie pojmujący ducha epoki, ogłosił ową sławną proklamacyą swoją, potępiającą i znoszącą wszystko co bez jego upoważnienia i wiedzy ogłoszono w jego imieniu. Nie dość na tem; prześladował *nowatorów*.

W skutku tego Karol Albert zmuszony był opuścić Turyn. Przejeżdżając przez Medyolan nie mógł uniknąć konieczności przedstawienia się wicekrólowi, gdy przechodził przez galeryą, jeden z jenerałów austryackich, wskazując go pogardliwie obecnym oficerom, rzekł z urąganiem:

— „Oto król włoski!“ Karol Albert.

Milcząco zniósł obelgę zuchwałego Niemca, który

ani przypuszczał że w kilkadziesiąt lat później, całe Włochy i Europa przyznają ten tytuł synowi prześladowanego wtedy od losu książęcia.

Dnia 30 września 1817 r. Karol Albert zaślubił Teresę, księżniczkę Toskańską (ur. 1801 † 1855). Z tego małżeństwa miał dwóch synów, Ferdynanda, księcia Genui, wielkie rokującego nadzieje, zmarłego tak nagle w r. 1855, i Wiktora Emanuela ur. d. 14 marca 1820 r. Był on prawnukiem Franciszki Krasińskiej, która w r. 1760 zaślubiła księcia Karola, trzeciego syna Augusta II-go i Józefiny księżniczki Austryackiej, późniejszego księcia Kurlandzkiego, który w r. 1763—4, występował jako kandydat do tronu polskiego. Córka Krasińskiej z tego małżeństwa, Marya-Krystyna, zaślubiła księcia Karola Emanuela, z młodszej linii sabaudzkiej książąt Carignan. W r. 1831 linia ta dostała się na tron sardyński w osobie Karola Alberta, syna Karola Emanuela z Maryi Krystyny, ojca Wiktora Emanuela. Tak więc Wiktor Emanuel był prawnukiem Franciszki Krasińskiej.

Wychowanie przyszłego ulubieńca i króla Włoch zjednoczonych było męzkie i surowe, jak wszystkich książąt domu Sabaudzkiego; ojciec pragnął przede wszystkiem uczynić go bohaterskim żołnierzem i wodzem — nie zawiodło go to oczekiwanie.

W r. 1842, mając zaledwie lat 22 Wiktor Emmanuel poślubił arcyksiężniczkę Adelajdę, córkę arcyksięcia Rejner'a i siostry Karola Alberta (ur. 1822 † 1856 r). Arcyksiążę Rejner był wówczas wicekrólem lombardzko-weneckim i — dziwne zrządzenie losu! w sześć lat później dostojny teść uciekał w skutku rewolucyi, która Karola-Alberta ogłosiła swoim wodzem.

Zaledwie zasiadłszy na tronie Karol-Albert wypowiedział wojnę Austryi; Wiktor Emmanuel choć tak młody jeszcze przyjął w niej udział i pod Goeto i Pastrengo aureolą bohaterstwa ozdobił swe skronie.

Znane są losy tej wojny, która po różnych kolejach zakończyła się pamiętną klęską pod Nawarrą. Karol-Albert ostatni prawie ustąpił z pola bitwy, rzucał się w największy ogień nastawiając piersi kulom nieprzyjacielskim, a gdy go omijały jakby na przekór, ze smutnie spuszczoną głową powrócił do miasta. Pragnął zginąć a jednak nie odebrał sobie życia, powstrzymało go od tego głębokie poczucie religijne i myśl że powinien ocalić swój honor przynajmniej przed sądem potomności. Silną przewagą materyalną, Austrya więcej niż kiedykolwiek ciążyła nad Włochami; pozostając na tronie, Karol-Albert musiałby ślepo ulegać, stać się poniekąd jej narzędziem, patrzeć obojętnie na zagładę i zupełny upadek Włoch. Szlachetny obrońca niepodległości włoskiej, chciał dowieść że jedynie dla dojścia do tego celu zapragnął korony, składa ją więc skoro nie może mu być pomocą w sprawie włoskiej. Z rozdartem sercem rzucił rodzinę i ziemię ojczystą i poszedł umierać na wygnaniu. W pośród ciemnej i dżdżystej nocy, huzary stojąc na przedniej straży przyprowadzili przed jenerała Thur'a powóz podróżny, siedział w nim mężczyzna wzniosłej postawy a szlachetna twarz jego martwą pokryta była bladością.

— Jestem, rzekł z wyrazem bezmiernej boleści, hrabia de Barge, pułkownik piemoncki; wojsko w którem służyłem rano jest w tej chwili w rozsypce, jadę do Nicei.

— Jedź, Najjaśniejszy Panie, niech cię Bóg prowadzi.

Powóz ruszył galopem, unosząc dobrowolnego wygnańca. Karol Albert udał się do Portugalii i zamieszkał w Oporto, gdzie w kilka miesięcy przeniósł się do wieczności, mając zaledwie lat 52. Silna budowa i czerstwe zdrowie zdawały się długie rokować mu lata, ale nie mógł przeżyć upadku sprawy której życie poświęcił. Umierał spokojnie, z modlitwą na ustach, z nadzieją w sercu; bo jako głęboko religijny musiał gorąco wierzyć w miłosierdzie i sprawiedliwość Bożą, a tak wierząc nie mógł wątpić o przyszłości tak świętej sprawy.

Wiktor Emanuel wstępował na tron w tak smutnych i ciężkich okolicznościach, iż pozostawiona mu przez ojca korona, mogła łatwo w cierniowy zamienić się wieniec, ale dzielny, energiczny, pełen jakiejś mistycznej wiary w przyszłość, odważnie wziął na barki brzemię które dla innego byłoby niepodobnem do dźwignięcia. Wszystko zdawało się popychać go do cofnięcia nadanej przez ojca Ustawy; rząd austryacki nalegał o to nieustannie, a marszałek Radecki przyrzekał w jego imieniu wycofać natychmiast wojska austyackie, jeźli król sardyński odmieni system rządu, ale Wiktor-Emmanuel odmówił bez wahania, mówiąc:

— Rodzina moja zna drogę wygnania, ale obcą dla niej była zawsze droga hańby i wiarołomstwa.

Zamiast rozszerzać atrybucye swej monarszej władzy, Wiktor Emmanuel zwrócił się do narodu, i silny jego miłością i zaufaniem, poparty współudziałem, nie naruszając w niczem zaprzysiężonej Ustawy, którą najsumienniej i najrozumniej wykonywał, potrafił w przeciągu lat kilku stać się ulubieńcem narodu, bożyszczem wojska, węgielnym kamieniem gmachu jedności który Włosi wznieść zapragnęli. Gdy wstępował na tron, Sardynia zniszczona była dwuletnią, nieszczęśliwą wojną i nieodstępnemi od niej klęskami, które przyćmiły urok dynastyi i rozwiały nadzieje jakie naród włoski w niej pokładał, upatrując w niej przyszłych oswobodzicieli kraju. Wojsko sardyńskie, ów związek przyszłej armii włoskiej, prawie poszło w rozsypkę; finanse krajowe w złym bardzo były stanie, a zrozpaczone społeczeństwo straciwszy ufność i w rząd i we własne siły, rzuciło się w odmęt spisków których duszą był Mazzini.

(d. c. n.)

Z pracowni kobiet we Włocławku.

Szanowny Redaktorze!

Pewna że nie odmówisz pomocy gdy idzie o rozpowszechnienie pracy kobiet w naszym kraju, przesyłam niniejszą korespondencyą którą racz łaskawie pomieścić w szpaltach pisma swojego. Napływ listów z różnych zakątków ziemi do pracowni kobiet w Włocławku, uniemożebnia prawie udzielanie ustaw i warunków drogą prywatną, za twoim więc pośrednictwem Panie Redaktorze ogłaszamy je publicznie.

Uczennice przyjmowane być mogą każdego czasu i za życie; mieszkanie, i wszechstronną naukę tak fachową jak umysłową płaci się rs. ośmnaście miesięcznie: muzyka tylko opłaca się osobno po dwa złote za godzinę. Zdolni rzemieślnicy uczą szewctwa i introligatorstwa: przytem jest nauka kroju, szycia i znaczenia bielizny, a panna Justyna Wolicka, której prace widzieć można było na Wystawie tak Warszawskiej jak Wiedeńskiej, uczy wyrobu koronek na wzór brukselskich i kwiatów, oraz odświeżania tychże w sposób godny podziwu. Pracownia włocławska istniejąca po dziś dzień pod kierunkiem pani Agnieszki Bufle byłej Ochmistrzyni pensyi, wiele już wykształciła uczennic w rzemiosłach i krawiecczyznie, które na drodze pracy znalazły chleb pewny i niezależny i mimo ogłoszeń nie zdała dotąd swego zakładu w inne ręce, bojąc się by sześcioletnia mozolna jej praca w kierunku wszechstronnego uzdolnienia kobiet z dążnością fachową, nie została udaremniona. Przykład idzie z góry, powiada przysłowie, a przełożona tutejszej pracowni jest wzorem wytrwałości godnej największego uznania.

Przekonałyśmy się przecie że nie tylko dłoń męzka zdolna jest do pracy, bo gdy ręka kobieca śmiało a wytrwale ujmie szydło lub nóż introligatorski, wykonywa wyroby, którym świat przyklaskuje jak było na Wystawie pracy kobiet w Warszawie.

Śmiało więc i ochoczo śpieszmy do pracy a gdy ludzie ocenią a Bóg uświęci prawe dążności nasze, gdy mozół nasz połączymy z potem trudów ojców, mężów i braci naszych, przyczynimy się do poprawy chwiejącego się dobrobytu i nie tak rzewnie jak dziś skarżyć się będziem na krwawo-ciężkie czasy!

Paulina Biernacka.

Nowe wydawnictwa.

Dzieje starożytne w opowiadaniach dla młodzieży przez L. Szczerbowicza Wieczora. Ludy wschodnie. Jest to obraz, choć nieszczegółowy, nieprzepełniony datami i nazwami miejscowości i ludzi działających, tak jednak starannie ułożony, z tak wielką znajomością rzeczy, że daje dokładne pojęcie o czasach tak odległych a tak bardzo ciekawych. Przeczyta je z zajęciem każdy bez różnicy wieku i z pożytkiem niezaprzeczonym, gdyż Szanowny Autor pracę swą oparł na najświeższych badaniach znanych głównie tylko uczonym, błędy więc dawne usunął, wątpliwości objaśnił i nowe dodał szczegóły mało komu znane. Cena dziełka tego kop. 60.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Edwardowi G. w Kijowie. Wiersz p. t. Szczęście nie odpowiada warunkom przyjętym przez Redakcyą.

Panu E. B. w Odesie. Za zwrot przypadającej należytości bardzo dziękujemy. Tygodnik na rok cały został zapisany.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 9 (21) Февраля 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Opis do N. 8.

(Dalszy ciąg).

N. 6—7. Ubrania balowe.

N. 6. Suknia princesse z okrągłym wykrojem.

Na sukni z blado różowego tarlatanu od-



N. 1. Sukieneczka z podwójną pelerynką. Patrz ryc. 2.



N. 3—4. Suknia princesse dla młodej panienki. Przód i plecy.



N. 2. Sukieneczka z podwójną pelerynką. Plecy na ryc. 1.

znaczony jest plastron u góry 28 u dołu 25 cent. szeroki, cały zagarnirowany drobniutkiemi falbankami z tarlatanu przerabianego nitką srebrną. Takiż materyał użyty na draperyę upiętą z prostego bryta materyału 127 cent. szerokiego (po złożenie fałd tylko 55 cent.), który przykrywa przód i w połowie długości a z tyłu schodzi się pod oddzielnym brytem, przepiętym w podłużną bufę bukietami z róż. Dolne przybranie sukni, widoczne na ryc. 6 składa się z plisowanych falbanek 3, 11 i 6 cent. szerokich z gładkiego tarlatanu i z riuszy 8 cent. szerokiej z podwójnie złożonego tarlatanu w srebrne nitki. Wykrój szyi otacza riusza i plisowanie, przewleczone czarną aksamitką; takież rękawki. We włosach róże.



N. 5. Patarafka, haft na wytłaczanym aksamicie (velours frappé).



N. 6. Ubranie balowe.

N. 7. Suknia princesse wycięta kwadratowo.

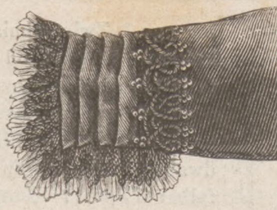
Strojna toaleta przedstawiona na ryc. 7 składa się z blado niebieskiej materyi i z tarlatanu srebrem przerabianego. Zwierzchnia tarlatanowa princesse któtsza o 25 cent. od sukni jedwabnej, wycięta jest u dołu w zęby, po 30 cent. głębokie a po 16 szerokie, oszyte sutą, 7 cent szeroką riuszą z białej illuzyi. Brzeg sukni jedwabnej zdobią trzy plisowane tarlatanowe falbanki po 7 cent. szerokie. Przepięcie obciskające suknię, 30 cent. szerokie, ułożone w płaskie poprzeczne fałdy, jest z bladoniebieskiej faille. brzegiem oszyte siepaną z materyi riuszą, 7 cent. szeroką, z pod której u dołu wysuwa się plisowanie z illuzyi 9 cent szerokie. Tylny bryt sukni spięty kokardą ze skosu materyi 24 cent. szerokiego i z tarlatanu wziętego podwójnie. Przybranie stanika wyciętego kwadratowo, schodzące się w ząb na plecach i z przodu, układa się z materyi i riuszy podług ryc. 7. Kolorowe aurykle zdobią stanik, dół sukni i głowę.



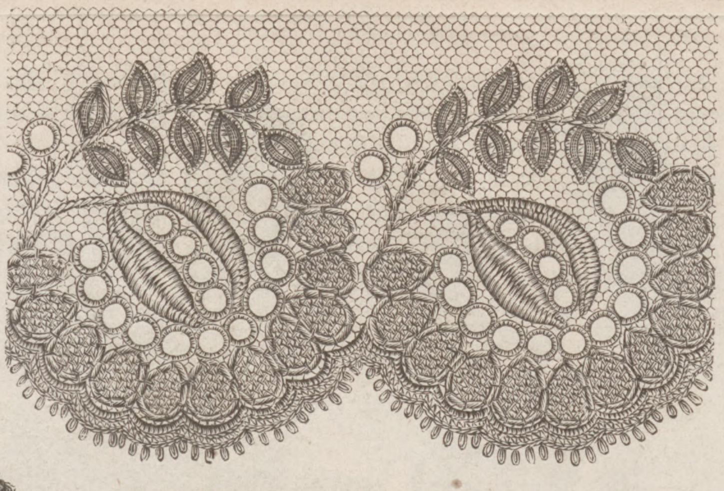
N. 7. Ubraule balowe.

N. 8—9. Rękawy do sukien.

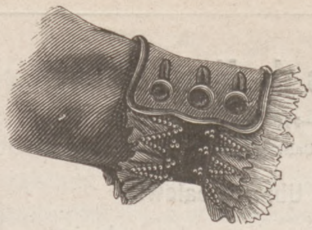
Rycina 8 podaje model rękawa do sukni jedwabnej, otwartego na 10 cent. przy szwie zwierzchnim, naszytego czterema atłasowemi plisami, po 2 cent. szerokiemi, zachodzącemi na siebie. Torsada jedwabna z perełkami 4 cent. szeroka, koronka lekko marszczona i plisowanie z crêpe-lisse dopełniają przybrania. Na ryc. 9 widzimy rękaw do sukni kaszmirowej, z półmankietem 12 cent. długim, objętym grubą wypustką, przyciśniętym aksamitnemi guzikami, do którego z boków dochodzi drobniutkie plisowanie jedwabne i plisa aksamitna, wycięta w zęby oszyte wąziutką torsadką z clair de lune.



N. 8. Rękaw zdobny plisami.



N. 10. Koronka wyszywana na tiulu.



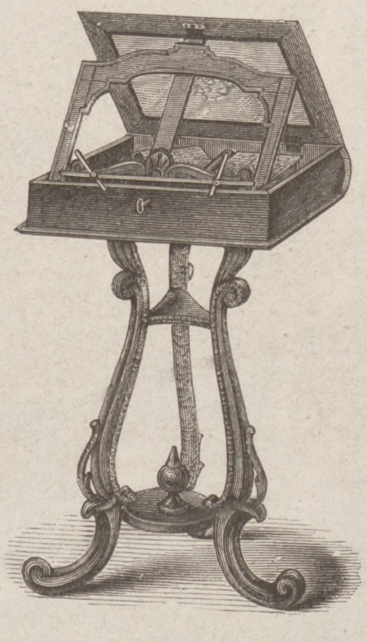
N. 9. Rękaw z półmankietem.



N. 14. Suknia z vêtement.



N. 13. Ubranie wizytowe z draperyą.



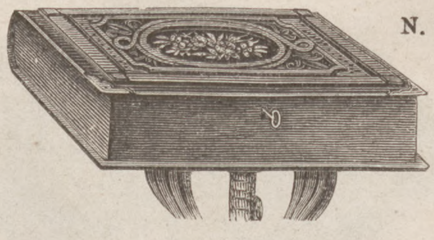
N. 11. Stoliczek z pulpitem do czytania. Otwarty. Patrz ryc. 12.



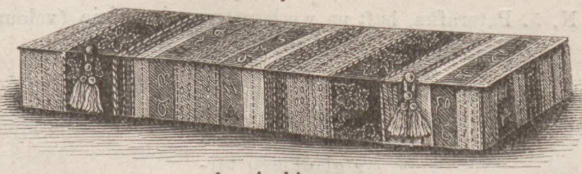
N. 15. Suknia z vêtement zapinanem z boku. Patrz ryc. 16.



N. 16. Suknia z vêtement zapinanem z boku. Przód na ryc. 15.



N. 12. Stoliczek z pulpitem do czytania. Zamknięty.— Patrz ryc. 11.



N. 17. Kasetka na rękawiczki, wachlarze i t. p. Haft chiński patrz ryc. 18.

N. 10. Koronka wyszywana na tiulu.

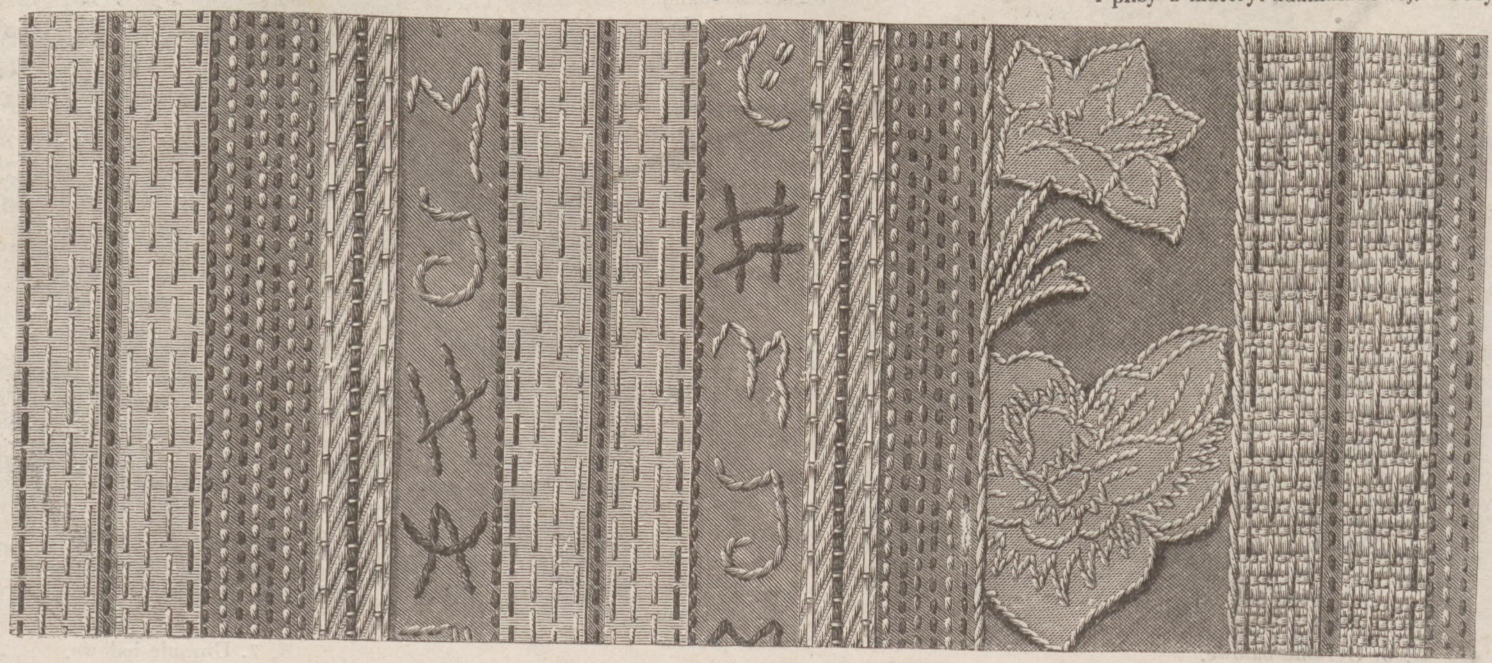
Wykonanie koronki jest dość łatwo ponieważ oprócz wywodzenia na tiulu użyta jest na gałązki tasiemeczka koronkowa, która naszywa się bardzo pośpiesznie. Może ona służyć do przyozdobienia modnych szerokich kołnierzy i mankietów, chusteczek i t. p. i odpowiednio do celu wykonywa się w kolorze białym lub czarnym; brzeg dolny oczyty fabrycznemi pikotami.

N. 11—12. Stoliczek z pulpitem, ozdobiony malowaniem nakrapianem.

Na ryc. 11—12 widzimy otwarty i zamknięty maleńki stoliczek na książki w czasie czytania; nóżki rzeźbione z drzewa liczą 76 cent. wysokości, wierzch zaś zrobiony jest w kształcie książki, 9 cent. grubej, 43 długiej a 34 cent. szerokiej. Wierzch przyozdobiony jest nakrapianiem na drzewie.

N. 13. Ubranie wizytowe.

Gustowne ubranie wizytowe formą princesse z szalową draperyą wykończone jest ze srebrno-popielatej adamaszkowej materyi i gładkiej faille i przybrane bardzo kosztowną frendzlą sznelową, prawdziwą koronką i sutą riuszą z siepanej materyi. Górna przybranie odznacza długi kiras otwarty z przodu; rękawy są z gładkiej i adamaszkowej materyi; na draperyę z gładkiej faille potrzeba prostego bryta 50 cent. szerokiego, złożonego w fałdy, który z przodu opuszczony jest niżej a z boków trochę podniesiony w górę, z tyłu zaś podchodzi pod bryt zfałdowany podłużnie. Dolny brzeg sukni zdobi 14 cent. szerokie plisowanie z faille i plisy z materyi adamaszkowej. Przyozdobieni rękawów wskazuje rycina 13.



N. 18. Haft w guście chińskim, do kasetki ryc. 17.

N. 14. Suknia z vêtement.

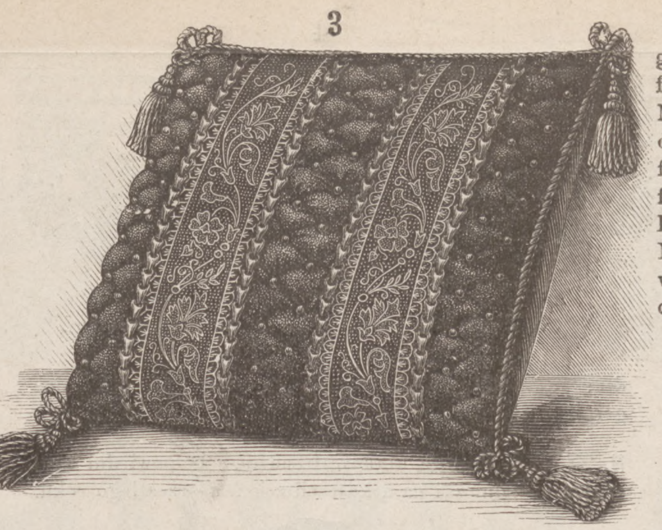
Odpowiedni krój znaleźć można na arkuszach z końca przeszłego roku.

Vêtement dopasowane podług formy princesse, ma bryt tylny przy szwach bocznych założony w fałdy, przez co tworzy się bufa widoczna na ryc. 14. Środkowe części pleców, 64 cent,

długie, dane są z czarnego aksamitu, suknia zaś odszyta jest z materyału neige czarnego z białem; wzdłuż przodów aż do fałd dodany plastron aksamitny. Rękawy aksamitne przybrane u dołu mankietami z materyału sukni, naszytemi wzdłuż plecami aksamitnemi 2 cent. szerokości; także kieszonka, przepięta kokardą. Plisowanie na sukni liczy 17 przy vêtement 10 cent. szerokości; kokardy aksamitne przyszyte w miejscach wskazanych na rycinie 14.

N. 15—16. Suknia z vêtement zapinanem z boku.

Ryciny 15—16 przedstawiają przód i plecy sukni aksamitnej bronzowego koloru; 7 cent. szeroka riusza z piór zdobi vêtement ryc. 15, na ryc. 16 zastąpiona repsową plisą 6 cent. szeroką, przestębnowaną kilka razy jedwabiem. Vêtement formą princesse zapinane z boku, liczy z przodu 142, z tyłu 164 cent. długości, dolny obwód wynosi 240 cent.; jak to widać na ryc. 16 potrzebna szerokość pleców dodana jest w połowie ich długości, od góry bowiem leżą zupełnie gładko. Podpięcie vêtement wskazują ryciny; kokardy dane z wstążki 7 cent. szerokiej.



N. 19. Poduszka do kanapy.



N. 20. Toczek z popielatego filcu.



N. 21. Kapelusz czarny filcowy.



N. 22. Serweta z kolorowym szlakiem. Patrz ryc. 29.



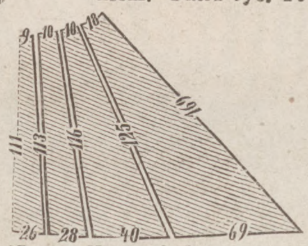
N. 27. Paletot zdobny frendzlą. Plecy na ryc. 28.

N. 17—18. Kasetka na rękawiczki, wachlarze lub t. p. Haft w guście chińskim.

Na pokrycie podłużnej tekturowej kasetki użyty materyał wełniany w pasy jasne i ciemne, haftowane kolorowym jedwabnym, podług deseniu w guście chińskim, przedstawionego w naturalnej wielkości na ryc. 18. Resztki kolorowych materyi mogą być tu zużytkowane do podkładania kwiatów, wyszytych ściegiem sznureczkowym. Na ciemnych pasach naszyta jest plecionka złota 1 cent. szeroka przyszywana kolorowym jedwabiem; chińskie litery wyszyte są jedwabiem zielonym, różowym, fijołkowym żółtym, niebieskim i ponsowym. Wnętrze kasetki wyklejone jest atlasem, lub morą.



N. 24. Kokarda z materyi i koronki.



N. 23. Krój sukni do trenu dworskiego ryc. 30 w N. 7.



N. 25. Bukiecik z kwiatów przepięty strzałką, do ryc. 32.



N. 26. Nakolennik włóczkowy robiony na drutach.



N. 28. Paletot zdobny frendzlą. Przód na ryc. 27.

N. 19. Poduszka do kanapy.

Model eleganckiej poduszki liczącej 48 cent. w kwadrat, składa się z pasów zielonego aksamitu, pikowanych guziczkami w kwadraciki i z haftowanych pasów sukiennych. W przeszłorocznych N-rach Tygodnika znajdą czytelniczki wzory i desenie do haftu na pasach; deseń jaki widzimy na zmniejszonym formacie ryc. 19. odrobiony był trzema cieniami zielonej filozeli ściegiem łańcuszkowym, luźnym i sznureczkowym. Pasy sukienne można zastąpić wyszywanemi na kanwie. Na zszyciu pasów dana riusza z blado-zielonej atłasowej wstążki; podszycie stanowi atłas zielony; brzegi poduszki otoczone sznurem z kwastami.

N. 20—21. Kapelusze dla młodych panienek.

N. 15. Toczek z popielatego filcu. Ma główkę dość wysoką, czworokątną, płaską zwierzchu, rondko wcale niewidoczne przykryte riuszą z piór strusich bronzowo-popielatych. Z lewego boku fantazyjne skrzydełko z mieniących się piórek.

N. 16. Kapelusz z czarnego filcu.

Dosyć szerokie rondo okrągłego kapelusza z wysoką szpiczastą główką, podszyte jest niebieskim pluszem i z jednego boku trochę wyżej wywinięte.. Główkę otaczają pukle naprzemian z wstążki atłasowej i repsowej, przysłonięte z jednego boku dwoma strusiemi piórami i kitką z piórek rajskiego ptaka.



N. 29. Szlak wyszyty krzyżykami, do ryc. 22.

N. 22—29. Serweta z kolorowym szlakiem.

Bielizna stołowa z kolorowemi szlakami coraz więcej wchodzi w użycie; szlaki takie są po większej części tkane fabrycznie, gdyż ręczne wyszycie szerokiego szlaku zajęłoby zbyt wiele czasu. Jednak dla pracowitych i mających dość wolnego czasu czytelniczek, podaliśmy na ryc. 29 niezbyt szeroki szlak wyszyty krzyżykami bawełną w jednym lub w dwóch kolorach, na tle z grubego kanwowego płótna.

N. 23. Krój sukni do trenu dworskiego. Patrz ryc. 30 w N. 7.



N. 31. Uczesanie wieczorowe. Patrz ryc. 32.

N. 24. Kokarda z materyi i koronki.

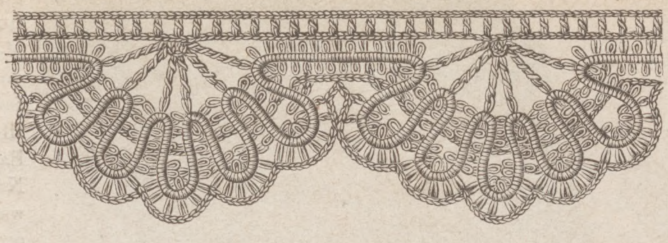
Blado-niebieski skos jedwabnego repsu, 12 cent. szeroki, ułożony jest na podstawie ze sztywnego tiulu, w pukle po 5 cent. długie, przewiązane węzłem podług ryc. 24. Jedwabny koniec spuszczony z pod pukli jest 14 cent. długi, drugi trochę dłuższy koniec jest z koronki białej nicianej, wyszywanej kolorowym jedwabiem.

N. 26. Nakolennik włóczkowy robiony na drutach.

Końce nakolennika zaczęte są na 88 oczek i robione w koło jak rękawki 52 razy; w środku na rozdzieleniu roboty wrobiony jest klin kwadratowy, na który nabiera się oczy jak na piętę w pończosze. Liczba oczek musi być zastosowaną do grubości nogi. W górnym końcu nakolennika dodane są końce zapinane na no-



N. 35. Stanik z baskiną do sukni ryc. 22 w N. 7.



N. 30. Ząbki z mignardisse obrabianaj szydełkiem.

dze; zaczynają się na 10 oczek i liczą 112 cent. długości.

N. 27—28. Paletot ubrany frendzlą. Odpowiedni krój znajdą czytelniczki na arkuszach z końca przeszłego roku.



N. 33. Szmizetka do sukni wyciętej kwadratowo.



N. 34. Kwiaty do głowy i naszyjnik.

Paletot z ciężkiego jedwabnego repsu i aksamitu, na lekko watowanej jedwabnej podszewce wykończony jest w ten sposób, iż dwie środkowe części pleców, boczki, rękawy i plisa wzdłuż przodów u góry 7 u dołu 11 cent. szeroka jest z aksamitu, przody zaś i boczne części pleców z repsu. Przybranie stanowi kosztowna frendzla marabout 16 cent. szeroka, przeratiana z perełkami clair de lune, torsadka pięć cent. szeroka i rozety szmuklerskie na kieszeniach i rękawach.

N. 30. Ząbki z mignardisse obrabiane szydełkiem.

Łatwa i niezmiernie pośpiesz-



N. 32. Uczesanie wieczorowe. Patrz ryc. 31 i 25.

na w robocie koronka z mignardisse nie wymaga szczegółowego opisu, przy dokładności ryc. 38, dodamy tylko że ząbki przyfastrygowane na papierze są od lewej strony przerobione i spajane rzędem łańcuszka i o. śc., zapełnienie ząbków i obrobienie dolne wykonywa się w trzech rzędach.

(Dokończenie nastąpi).



N. 36. Przybranie z koronki do sukni i rękawów.